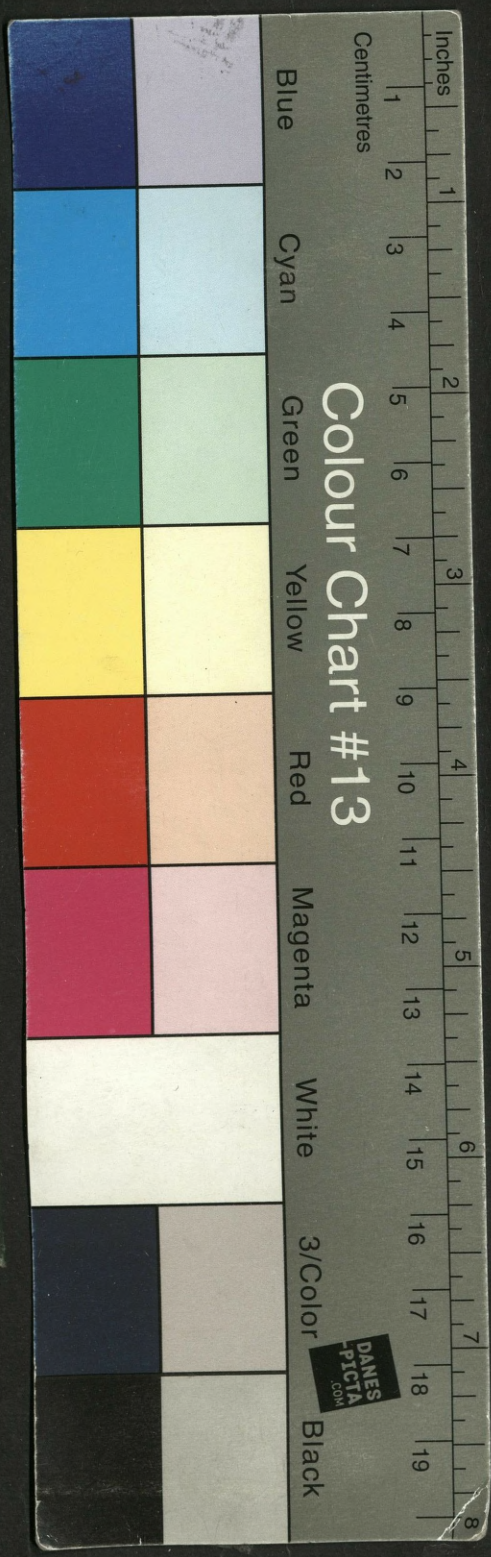
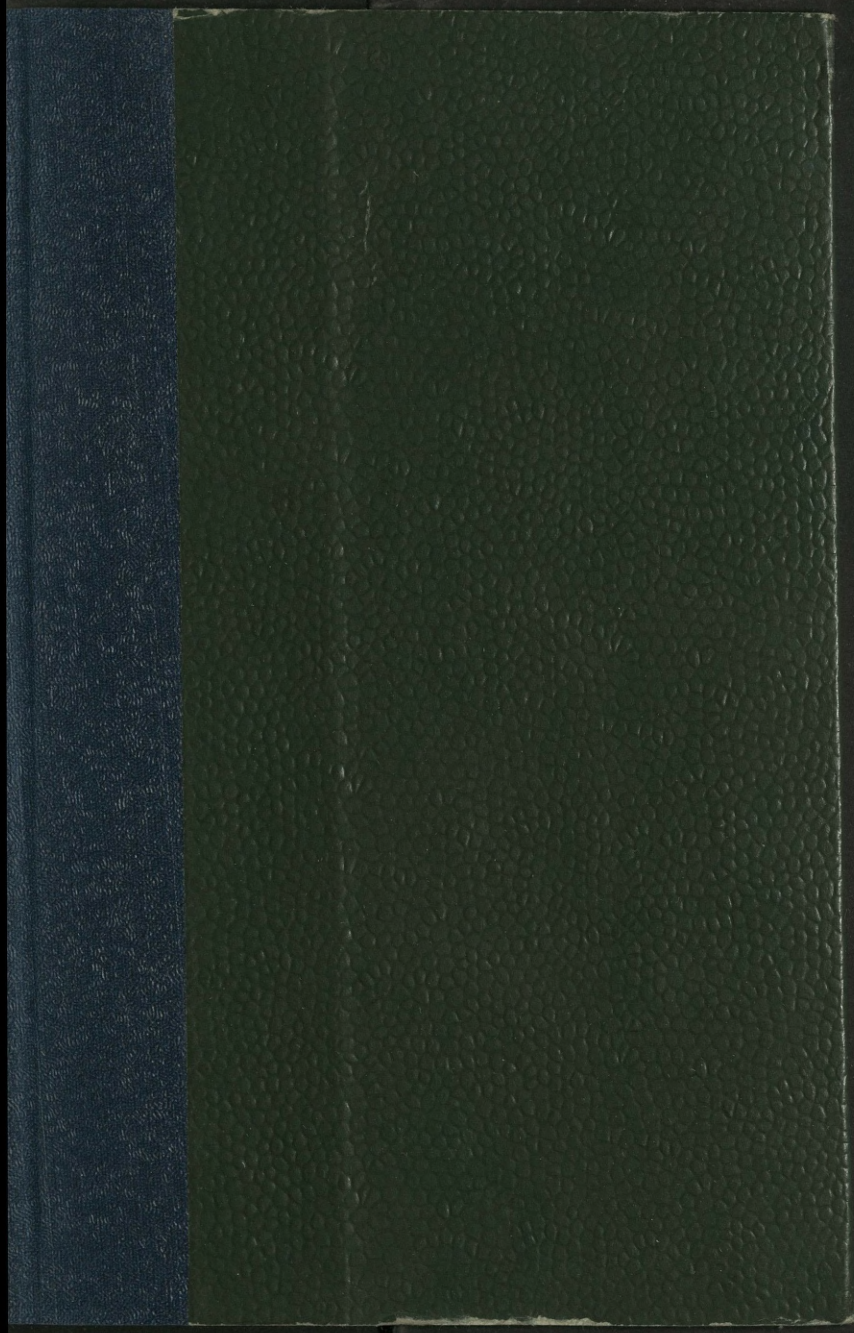


Grey Scale #13

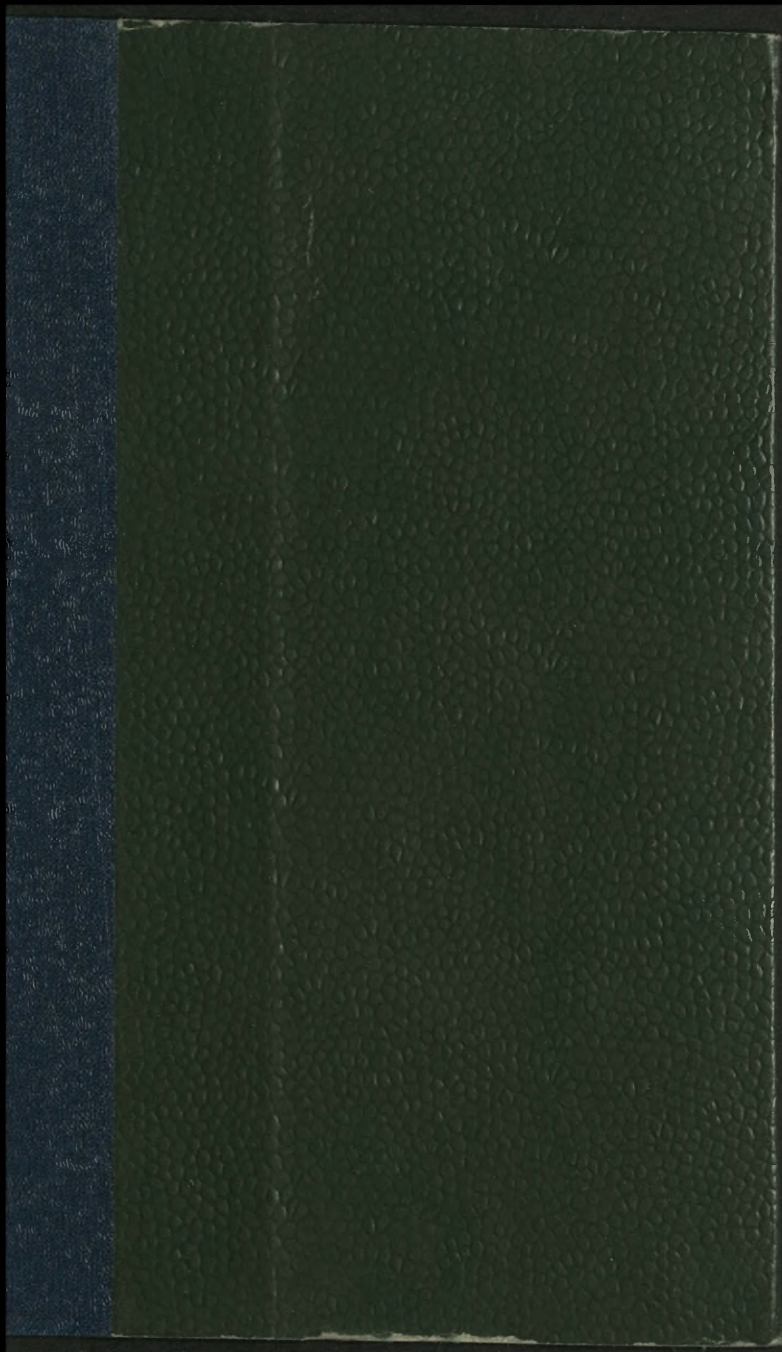


A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13



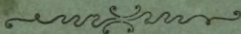


Subl. ad 10774
338

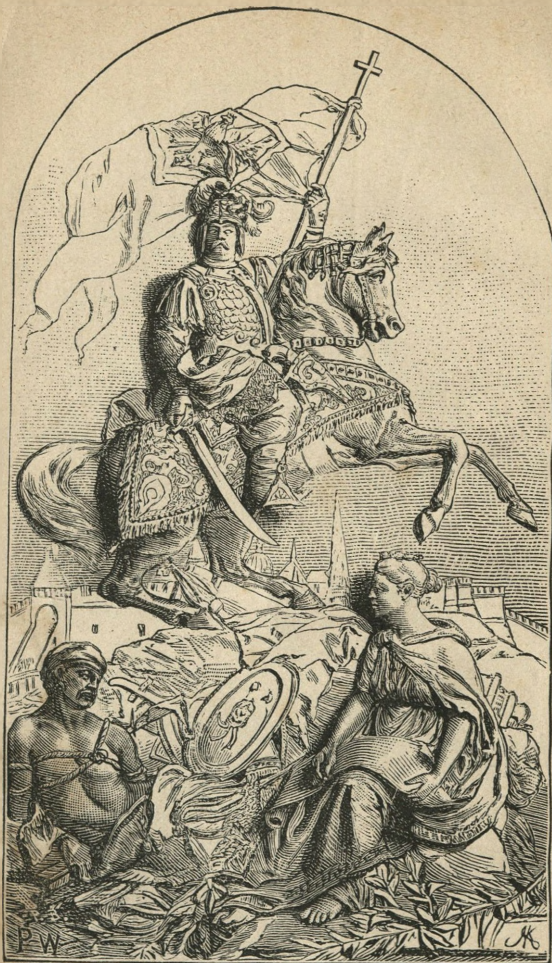
NA PAMIĄTKĘ OBCHODU
DWÓCHSETNEJ ROCZNICY
ZWYCIĘZTWA
JANA SOBIESKIEGO
NAD TURKAMI POD WIEDNIEM.

Napisał

STANISŁAW hr. TARNOWSKI,
PROFESOR UNIwersYTETU JAGIELLOŃSKIEGO,
SEKRETARZ GENERALNY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI,
POSEŁ NA SEJM KRAJOWY, RADCA MIASTA KRAKOWA.



W KRAKOWIE.
NAKŁADEM AUTORA.
W drukarni A. Kozińskiego, ul. Szewska 1. 21.
1883.



Modelował Pijus Weloński.

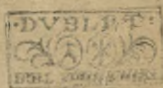
PŁASKORZEŻBA
(wmurowana w ścianę kościoła N. P. Maryi w Krakowie)
NA PAMIĄTKĘ DWUSETNEJ ROCZNICY ZWYCIĘZTWA
JANA III. KRÓLA POLSKIEGO
pod Wiedniem 1683.

WSPOMNIENIE
O JANIE TRZECIM
SOBIESKIM,
KRÓLU POLSKIM.

539 L.

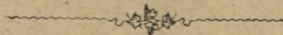
NA PAMIĄTKĘ OBCHODU
DWÓCHSETNEJ ROCZNICY
ZWYCIĘZTWA
JANA SOBIESKIEGO
NAD TURKAMI POD WIEDNIEM.

Napisał



STANISŁAW hr. TARNOWSKI,

PROFESOR UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO,
SEKRETARZ GENERALNY AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI,
POSEŁ NA SEJM KRAJOWY, RADCA MIASTA KRAKOWA.



W KRAKOWIE.
NAKŁADEM AUTORA.
W drukarni A. Koziańskiego, ul. Szewska l. 21.
1883.

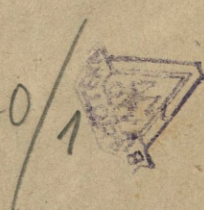
7(834) C. J. Morrison (P. 1)



I-312

~~15970~~

9940



W S T Ę P.

Dwieście lat temu, 12go Wrzesnia roku 1683 zwycięzył Jan Sobieski Turków pod Wiedniem, i podciął nogi tej bisurmańskiej potędze, co przez dwa wieki o zawojowaniu Europy i wytępieniu Chrześcijaństwa myślała, nie jednym nawrotem o spełnienie tej myśli się kusila, a od dnia tego złamała się w sobie, i nietylko śmiałych wypraw zaczepnych na państwa chrześcijańskie zaniechała, ale i stopniowo do zupełnego upadku chylić się zaczęła. Od wieków nie miał świat chrześcijański od Turków pokoju na lądzie ani na morzu; ustawiczne napady zmuszały do ustawicznej obrony; nawet gdy wojny nie było, nie ustawał strach i niebezpieczeństwo, a wojny i podboje krajów chrześcijańskich powtarzały się często, tem groźniejsze zawsze, im bliżej się Turek od wschodu ku zachodowi, do środka krajów europejskich posuwał.

Tysiąc lat z górą trwała walka Chrześcijaństwa z wyznawcami Mahometa, który ogłosiwszy się prorokiem, i ludy azyjatyckie, Arabów, Persów, Mongołów i Turków, do tej nowej swojej wiary skłoniwszy częścią a częścią zmusiwszy, wlał w nie to

przekonanie, że powinny świat cały ovladnąć, chrześcijańską wiarę wygładzić, a na miejscu krzyża godło swoje, półksiężyc, jako znak wiary i zbawienia postawić. Takim zaś zapalem dla siebie i swojej nauki umiał Mahomet przejąć te azyjatyckie plemiona, że poddawały mu się jedne po drugich, a on stał na czele tak licznego wojska, że mógł coraz nowe ziemie pod swoje panowanie garnąć, i azyjatyckim posiadłościom potężnego greckiego cesarstwa zagrażać. Po jego śmierci rozlewała się coraz silniejszym pędem mahometańska wiara i siła. Arabowie podbili Persyję, Syryję z Ziemią Świętą, z Azyi przeszli do Afryki, opanowali Egipt i całe północne afrykańskie wybrzeże. Ztamtąd przez Gibraltarską cieśninę dostali się do Europy i zalali Hiszpaniją, której część większa przez długie wieki zostawała pod ich panowaniem.

Ze środka Azyi tymczasem wychodziły coraz nowe, coraz dziksze ludy, napierając jedne na drugie, i pchały się ku zachodowi; i z takich jeden, Turcy, zdobyli na Arabach Syryję i Ziemię Świętą. Dla Chrześcijan, jacy tam jeszcze pozostali, i dla pielgrzymów przybywających z Europy do miejsc świętych, byli oni ciężsi i sroźsi od Arabów. A gdy Chrześcijanie oddawna już z żalem i wstydem widzieli, że niewierni panują nad ziemią gdzie się Zbawiciel narodził, gdzie żył, umarł na krzyżu i zmartwychwstał, pobudziły ich te nowe okrucieństwa tureckie do gorącego pragnienia, by Ziemię Świętą niewiernym odebrać. Z tego pragnienia wynikły wojny Krzyżowemi zwane (dla tego, że kto szedł na nie, nosił wielki znak krzyża na sukni przyszyty), wojny przez Papieży zapowia-

dane, przez duchownych i przez świętych niektórych (jak święty Bernard) głoszone. Ochotnicy z całego chrześcijańskiego świata garnęli się pod chorągwie: cesarze, królowie francuzcy i angielscy nieraz ośmiśle szli na wyprawę, z rycerzy, kto zdrów był a Boga i honor miał w sercu, szedł na wojnę świętą pod hasłem „Bóg tak chce.“ Wypraw takich głównych było siedem, pomniejszych nie licząc. Pierwsza wyszła z Europy w roku 1096, a w 1099 pod dowództwem Gotfryda z Bulionu zdobyła Jerozolimę. Utrzymali się w niej królowie chrześcijańscy przez lat blisko dziewięćdziesiąt, ale ją znowu (w roku 1187) stracili. Odtąd nowe usiłowania, nowe wyprawy, żeby Grób Pański wydrzeć z rąk bisurmańskich, jak cesarza Fryderyka I., Filipa Augusta, króla francuzkiego, Ryszarda (zwanego Lwie Serce), króla angielskiego, wszystkie daremne, jak daremną była ostatnia ze wszystkich wyprawa krzyżowa króla francuzkiego Ludwika IX. (Świętego), który na wybrzeżach afrykańskich z morowej zarazy umarł w roku 1270.

A kiedy tak chrześcijańskie zwycięstwa i panowanie ustępowały przed Muzułmanami w Azji i Afryce od północnego wschodu, wdarł się nowy ich nawał w sam środek Europy. Tatarzy, najdziksze, najstraszniejsze, wcale przedtem nie znane, azyjatyckie plemię, zholdowali w mgnieniu oka cały ten kraj który dziś jest Cesarstwem rosyjskiem, kniaziów jego obrócili w swoich lenników, przez Ruś potem wpadli do Polski (w roku 1241), ogniem i mieczem spustoszyli całą, przeszli przez Kraków (wtedy to Śta Kunegunda schroniła się przed nimi w karpackie

góry i lasy), dalej na Szlązk, aż się ztamtąd pobi-
ci pod Lignicą przez Henryka Pobożnego, księcia
wrocławskiego, syna stej Jadwigi (który sam w bi-
twie téj poległ), cofnęli. I odtąd zaczęły się dla
Polski wiekowe straszliwe skutki tatarskiego sąsiedz-
twa. Osiedli w południowej Rosyi, nad morzem Kaspij-
skim i nad morzem Czarnem w Krymie, książąt mo-
skiewskich mając za lenników, Tatarzy mogli kiedy
chcieli przez puste bezbronne ukraińskie pola wpadać
na Ruś Polską i głębiej, a każdy ich najazd znaczyl
się pożogą i gruzami miast i wsi, rzezią tysięcy ludzi,
rabunkiem polskich dobytków i skarbów, i jasyrem,
czyli niewolą tysięcy młodzieńców i kobiet, które na tar-
gach potem Turkom sprzedawali, dzieci, które w wierze
swojej muzułmańskiej chowali. I tak przez pięć wie-
ków prawie wisiała nad Polską czarna chmura ta-
tarskich zagonów, pokoju nie dając, dzieła pokoju,
bezpieczeństwo, roli uprawę, miast powstanie i za-
możność, ziemi zaludnienie, w niwecz obracając, a do
nieustannej gotowości wojennej i obrony zmuszając.
Bo kiedy nawet cała horda siedziała spokojnie, to
rzadki był rok, by mniejsze jéj oddziały nie pusto-
szyły wschodnich granicznych a najżyźniejszych ziem
polskich, Ukrainy i Podola.

Była więc Europa zagrożona od Bisurmanów,
z południa z Hiszpanii i afrykańskich brzegów od
Maurów, z północnego wschodu od Tatarów. Do tych
przybyło niebezpieczeństwo trzecie: przyszli z Azji
do Europy Turcy. Na greckiem Cesarstwie zdobyli
wielkie ziemie, stolicę swoją w Adryjanopolu założy-
li, królestwo serbskie po bohaterskiej obronie (bitwa

na Kosowem polu w r. 1389) podbili. W Europie strach był coraz większy; papieże na gwałt i na miłość boską zaklinali o nową wojnę krzyżową, zagrożeni w swoim Konstantynopolu greccy Cesarze błagali o ratunek; a w niebezpieczeństwie największem znalazły się te kraje, do których Turkom było najbliżej, Węgry i Polska. Łączyły się też do wspólnej obrony i wspólnej zaczepnej przeciw nieprzyjacielowi wojny. W tej myśli powołali Węgrzy na tron swój króla Polskiego młodego Władysława, syna Jagielly, w tym celu razem poszli na Turków; bez skutku. Poszczęściło im się raz w bitwie pod Filippopolem i Turcy sami o pokój prosili, ale w drugiej pod Warną (1444) stracili wojsko i młodego króla, któremu została tylko chwała pięknej śmierci i przydomek Warneńczyka.

Od tej bitwy nie wyszło lat dziesięć (1453), a Turcy zdobywali Konstantynopol, którego nie miał kto bronić. Ostatni cesarz poległ na murach miasta, na kościele Śtej Zofii błysnął księżyc na miejscu krzyża, i Turcy usadowili się w Europie tak silnie, że się do dziś dnia na bałkańskim półwyspie trzymają, a przez dwa wieki z niego Europie całej grozili, z przekonaniem, że cały świat chrześcijański podbić muszą i podbijają. Naprzód zaś przyległe sobie naddunajskie kraje, Multany i Wołoszczyznę (które niebawem w lenność sobie zhołdowali) i Węgry. I znowu jeden młody Jagiellończyk, Ludwik, król węgierski, położył głowę w bitwie z niewiernymi pod Mohaczem (1526), w tym samym roku wziął Sultan Soliman Belgrad, w trzy lata później węgierską stolicę Budę, większa część Węgier była w ręku tureckim i zo-

stała w niem długo; raz, na sto pięćdziesiąt lat przed Sobieskim posunęli się Turcy pod Wiedeń, oblegali go przez dni dwadzieścia, szczęściem zdobyć go nie zdołali.

Ale z tego blizkiego sąsiedztwa grozili mu zawsze, a nie mniej grozili i Polsce. Z Węgier, z Wołoszczyzny zwłaszcza, mogli łatwo do niej się dostać, a choć z tej strony zasłaniały ją góry, to od Czarnego Morza, od ujść Dniestru i Dniepru otwarta była na oścież i tylko kamieniecką twierdzą broniona. Z boku zaś miała Tatarów, tureckich hołdowników i sprzymierzeńców. Jak się obronić: dwa były w tej mierze zdania i dwa sposoby postępowania. Jeden wstępną wojną uderzyć na Turków, a jeżeli się poszczęści, mieć od nich spokój na zawsze; ale sama jedna była Polska na taką wojnę za słaba, o wspólnej wojnie w przymierzu z innymi panami chrześcijańskimi próżno było myśleć, bo byli zajęci wojnami i sprawami innymi, a głównie religijnymi, wynikłymi z oderwania się Lutra od kościoła; dlatego dwaj ostatni Jagiellonowie, Zygmunt Stary i Zygmunt August, trzymali się drugiego sposobu postępowania, ściśle przestrzegali pokoju z Turkami. Stefan Batory w porozumieniu z Papieżem Syxtusem V. i z Rzeczpospolitą Wenecką, myślał o zaczepnej z nimi wojnie, ale go śmierć ubiegła zanim zamiar ten dojrzał.

Za jego następcy dopiero, za Zygmunta III., rozpoczął się szereg długich wojen tureckich. Zanosiło się zrazu na wielką wojnę połączonemi austriackimi i polskimi siłami, ale do przymierza tego, zatem i do wojny nie przyszło. Coraz częstsze zaś powstawały i powtarzały się spory. Tatarzy mimo

pokoju raz wraz napadali na Polskę, nasi znowu niesforni kozacy na własną rękę zaczepiali Turków; Wołoszczyzna, której gospodarowie nigdy losu swego nie pewni raz Turcyi, to znów Polsce poddawali się w hołdownictwo, była przyczyną sporów; gdzie wiele do nieprzyjaźni powodów, tam wojna prędzej czy później wybuchnie. Wybuchła też w roku 1620, nieszczęśliwa i dla narodu naszego nie sławna. Bo przeciw wielkiej mocy tureckiej postawił wojsko małe, które wystarczyć nie mogło, hetmanowi Żółkiewskiemu nie dano posiłków o które błagał; z małą garstką zwyciężyć nie mogąc, stary hetman pod Cecorą poległ za wiarę i ojczyznę.

Po tej przegranej niebezpieczeństwo było wielkie, Rzeczpospolita bez obrony, wstyd też było niedbalstwa i marnie poświęconej głowy Żółkiewskiego, przyszło opamiętanie, obudził się duch rycerski i skoro na rok następny Sułtan Osman wyprawił się z ogromnemi siłami na Polskę, zastał pod Chocimem wojsko polskie nieliczne, ale tak dzielne, tak waleczne, tak na głód i trud wytrzymałe, że upokorzony i zwyciężony ze stratą wielką i wstydem odstąpić musiał, podpisawszy korzystny dla Polski pokój. Potem nie było już większej z Turkami wojny aż do tych, w których już walczył i zwyciężał Sobieski. Król Władysław IV. w ostatnich latach swego panowania zamyślał, jak przedtem Batory, o zaczepnej na nich wyprawie, wchodził w umowy z Papieżem i z Rzeczpospolitą Wenecką, potajemnie nawet werbował zaciągi, ale zamiar ten do skutku nie przyszedł, bo sejm wojnie niechętny, królowi na nią nie pozwolił. Za króla.

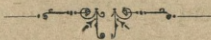
Jana Kazimierza, kiedy ze wszech stron zwalili się na Polskę nieprzyjaciele, kiedy Szwedzi byli w Warszawie i w Krakowie, Moskale w Wilnie, zbuntowani kozacy pod Lwowem i pod Zamościem, byli przy tych Kozakach Tatarzy, ale Turcy zachowali się spokojnie.

Takie były (w krótkich słowach) nasze z nimi przez dwa wieki stosunki, od śmierci młodego Jagiellończyka pod Warną do śmierci starego Żółkiewskiego pod Cecorą i starego Chodkiewicza (z choroby) w Chocimskim obozie. Ile krwi Polska w tych wojnach przelała, ile straciła sił, czasu, pieniędzy na tę ustawiczną swoich wschodnich granic obronę to się obliczyć nie da, ale to pewna, że wielkiem nieszczęściem było dla niej to sąsiedztwo tureckie. Bez niego byłaby mogła, jak inne państwa, wzrastać w ludność, w dobry byt, w dobry ład, w wewnętrzną siłę i powagę na zewnątrz, zaś z Bisurmanem u bram swoich musiała wciąż tylko na niego całą uwagę i całą swoją siłę obracać. Nazywano ją wtedy, i ona nazywała się sama przedmurzem Chrześcijaństwa, i słusznie, bo wstrzymując na sobie pierwsze zapędy tureckich najazdów, stała jak mur albo wał obronny między Turkiem a resztą Europy. A jeżeli można żałować tego, że nie zdobyła się nigdy na śmiałą zaczepną wojnę — w czym ją wszakże trudnemi okolicznościami nieraz słusznie usprawiedliwić można i należy, — to znowu ślepym być trzeba lub na wskrós niesprawiedliwym, by nie przyznać, że temi dwuwiekowymi walkami z Turkiem Polska zażyła się dobrze i Bogu i światu. Gdyby ona nie była stała na drodze, gdyby się nie była oparła, Turek

z podbitej lub zhołdowanej Polski miał wstęp otwarty do Austrii, do Niemiec, do samego środka Europy, a z niego byłby zachodowi i południu panował a przynajmniej ustawicznie groził. Wszystko, co narody europejskie pracą wieków wyrobiły, ich prawo, ich obyczaje, ich nauki, kształt i układ ich rządów, wszystko byłoby zniszczone, zniesione do szczytu, a co najmniej tak stłumione, że nie zdołałoby rozwijać się i kształcić. Chrześcijański i europejski porządek rzeczy byłby musiał tak ustąpić azyjatyckiemu i muzułmańskiemu w Europie całej, jak ustąpił w Azji, i w tych Europy częściach, które Turek zawojował. Wolność każdego człowieka i każdego narodu byłaby upadła pod wrodzoną wschodnim ludom wszechwładną samowolą Sultanów; prawo każdego, własność jego i życie samo, byłoby na łasce mocniejszego; wiara chrześcijańska prześladowana, tępiąca, byłaby musiała kryć się albo poddawać. Własność, rodzina, państwo, kościół, wszystko byłoby zburzone i przewrócone, wszystko innym duchem ożywione, wszystko nie Chrystusowem, ale Mahometa prawem rządzone.

O takie rzeczy, o wolność, o prawo, o bezpieczeństwo, o życie, o wiarę i wieczne zbawienie milionów dusz chodziło w tych wojnach Chrześcijaństwa z Turkami, o takie zawsze chodzić będzie, ile razy ludy wschodnie napierać będą na zachód i kusić się o rozszerzenie swego panowania. I od takich to nieszczęść, od takiej niedoli zniszczenia i zdziczenia broniła Polska siebie, a resztę Chrześcijaństwa zasłaniała, kiedy przez dwa wieki z Bisurmanem walczyła.

A jak miała tę zasługę, że ze wszystkich najwięcej krwi swojej w tej sprawie przelała, tak miała w nagrodę może za swoje poświęcenie tę chwałę, że ona, że jej król złamał nareszcie i na zawsze tę straszną potęgę, wytrącił z rąk tureckich miecz przez dwa wieki nad głową Chrześcijaństwa zawieszony.



I.

Jan Sobieski urodził się w Olesku, małym miasteczku dawnego Województwa ruskiego, dnia 17. Sierpnia 1629 r., z ojca Jakóba, naówczas krajczego koronnego i krasnostawskiego starosty, z matki Teofili Daniłowiczówny, wojewodzianki ruskiej. Ród jego używał herbu Janina (tarcza na czerwonym polu), osiadły był w województwie lubelskim, a za króla Stefana Batorego zaczął dochodzić do większego w Rzeczypospolitej znaczenia. Marek Sobieski, dziad naszego króla, był wojewodą lubelskim, senatorem przeto, i nie małych już dostatków panem. Jakób, syn tego Marka, od młodości już zasługami ojca zalecony, przydany był do boku królewicza (późniejszego króla) Władysława, gdy się ten na moskiewską wojnę wyprawiał, i w tej wyprawie pod murami Wiazmy miasta ciężko ranny, omal życiem waleczności swojej nie przypłacił. Rozwaga i statek nie mniejsze znać były w młodzieńcu niż odwaga i rycerski zapal, skoro w lat pięć później, po zwycięstwie Chodkiewicza nad Turkami pod Chocimem w roku 1621, jego mianowano komisarzem do ułożenia warunków pokoju. Dobry do boju i do rady słynął też Jakób Sobieski

z pięknej i przez współczesnych bardzo chwalonej wymowy, a i piórem też ozdobił władzą, jak świadczy dzieło, w którym pomienioną wojnę Chocimską świadek naoczny opisał. Te jego piękne zdolności i postęпки sprawiały, że rósł w poważaniu u ludzi, a na urzędy coraz wyższe postępował. Ożeniony po raz pierwszy z księżniczką Maryanną Wiśniowiecką, wojewodzianką ruską, gdy rychło owdowiał, pojął w związek małżeński Teofilę Daniłowiczównę. Majątek jego pomnażał się szybko i znacznie, a jeszcze bardziej wzmagala się powaga. — Cztery razy bywał Marszałkiem Izby Poselskiej na sejmach, cztery też razy Marszałkiem Trybunału, jako poseł króla i Rzeczypospolitej do zagranicznych dworów bywał wysyłany. Za młodu był krajczym koronnym, potem postępował stopniowo na bełzkie, z tego na ruskie województwo, aż wreszcie na czas niedługi przed śmiercią został kasztelanem krakowskim, czyli pierwszym między Senatorami świeckiego stanu w Rzeczypospolitej. Z gorliwej pobożności swojej, z fundacyi wielu kościołów, nie mniej jak z obywatelskich cnót i zasług znany i szanowany umarł Jakób Sobieski w roku 1646.

Ale jakiegokolwiek były zasługi ojca, to z rodu matki spadała na młodych Sobieskich piękniejsza spuścizna chwały. Teofila Daniłowiczówna (córka Jana, wojewody ruskiego) rodziła się z Zofii Żółkiewskiej, a przez tę była wnuczką wielkiego Stanisława Żółkiewskiego, Hetmana Wgo koronnego i Kanclerza. Ten był jednym z najtęższych i najlepszych w Polsce ludzi. Przez życie całe krwi swojej dla

ojczyzny nie żałował, pod Kluszynem z sześcioma tylko tysiącami czterdzieści tysięcy Moskali i ośm tysięcy szwedzkich posiłków w puch rozbił, i tem zwycięstwem otworzył sobie drogę do Moskwy, Carów moskiewskich (Szujskich) w niewolę wziętych w tryumfie do Warszawy zaprowadził, miasto Moskwę zajął i czas jakiś trzymał w nadziei, że królewicza Władysława na tronie tamtejszym osadzi, (co się nie stało z powodu, że siły polskie były za małe). Skończył zaś zawód swój jak rycerz, jak bohater, a prawie jak święty. Z częstych pomiędzy Polską a Turcją o zwierzchnictwo nad Wołoszczyzną sporów zaniósł się na nową wojnę w roku 1620. Żółkiewski miał zazdrosnych i obmowców wielu, którzy cniecie i sławie jego dorównać nie mogąc, zmniejszyć ją usiłowali. Przed czterema laty, Polsce zatrudnionej wojną moskiewską i szwedzką, groziła jeszcze turecka, a Turcy z wielkim wojskiem już się do granic zbliżali. Żółkiewski, który tych granic strzegł, a widział, że z małemi siłami wielkim nie podola, odwrócił tę wojnę od Polski zawartym w Buszy pokojem, którym zobowiązał się imieniem Rzeczypospolitej napady kozaków na tureckie kraje powściągać, a w sprawy wołoskie się nie mieszać. Szkalowano go wtedy, że zły ten dla Polski układ dlatego zawarł, że walczyć nie miał odwagi. Niesłusznie tak a nikczemnie w czci swojej dotknięty starzec, czekał na sposobność, by oszczercom pokazać, że mu na mężstwie nie zbywało. Gdy więc w roku 1620 Turek znowu ciągnął na Polskę, Hetman acz przeczuwał, że koniec będzie zły, nie wahał się wyjść naprzeciw, upomi-

nał tylko i prosił króla i senatorów w Warszawie, żeby zbierali zaciągi i licznie postawili wojsko, ale na to nie czekając, poszedł z garstką, jaką miał pod ręką. Było tego 5000 rycerstwa i kozaków 2000, a w tem jeszcze większa część postawiona i uzbrojona własnym niektórych kosztem, kosztem także Hetmana samego, który skarby swoje na ten cel obrócił. Gdy on zaś na wyprawę wyszedł, żona jego (Regina z Herburtów) zaciężnych zbierała i uzbrajała i płaciła, a króla i Panów o pomoc rychłą listami błagała. Z tem szczupłym wojskiem stanął Żółkiewski za Dniestrem pod Cecorą, i tam zaszły go przemagające siły nieprzyjaciela, samych Tatarów liczono na 30000. Po pierwszych, nie zwyciężkich, ale dzielnych przecie utarczkach wszczął się wśród naszych strach, a za nim popłoch. Kilku znaczniejszych wyjechało, za ich przykładem wielu mniejszych pierzchło z obozu. Hetman tak opuszczony, gdy już o zwycięztwie myśleć nie mógł, zaczął taborem cofać się napowrót ku Dniestrowi. Wozami i działami jak ruchomym szańcem otoczona garstka ciągnęła tak przez dni ośm, odstrzeliwując się następującemu nieprzyjacielowi, który na domiar podpalał suche trawy na stepie, tak że od gorąca i dymu oddychać było ciężko. Już było blisko do Dniestru, już ocalenie zdawało się pewnem, kiedy w obozie wybuchła na nowo niesforność, szemranie, niektórzy rozerwali tabor by prędzej uciekać, i z tego skorzystał nieprzyjaciel i uderzył po raz ostatni (dnia 7go Października). Stary hetman na klęczkach proszony by się ratował, nie chciał, owszem własną ręką zabił swego konia,

by nie miał na czem uciekać, aż poległ wreszcie tak, jak całe życie pragnął, w boju z Turczynem, za wiarę i za całość Rzeczypospolitej. Głowę jego odciętą od tułowia zatknęli Turcy na pikę i na znak tryjumfu odesłali do Sułtana. Syn hetmański Jan, synowiec Łukasz Żółkiewski, zięć Stanisław Koniecpolski, hetman polny kor., dostali się do niewoli.

Na dzień przed śmiercią swoją (6 Października) pisał Żółkiewski do żony: „Nie turbuj się Wasza „Miłość, najukochańsza małżonko! choćbym i poległ, „toż ja stary i na usługi Rzeczypospolitej już nie „zdatny. Na wypadek jaki zalecam WM. miłość dla „dziatek, pamięć na me zwłoki, bo je sterałem ku „usłudze Rzeczypospolitej; a co Pan Bóg chce dać „z łaski swojej, to niech się stanie!“

Regina Żółkiewska spełniła święcie ostatnią wolę męża. Zwłoki jego, prawdziwe relikwie męczennika, sprowadziła do Żółkwi, a z wielką dla dziatek miłością krzątała się około ciężkiego za syna okupu. Zebrała wreszcie wielką sumę pieniędzy i syn wykupiony powrócił do Żółkwi. Nosił się z myślą odwetu, układał nową na Tatarów wyprawę, marzył o złobyciu Krymu ich gniazda, kiedy otworzyła się dawna pod Cecorą odniesiona rana, i młody syn poszedł do grobu za starym ojcem, a obu razem wdowa i matka postawiła w Żółkiewskim kościele pomnik, na którym ich do dziś dnia widzieć można stojących obok siebie w całej postaci, a pod nimi napis: „jak słodko i chlubnie umierać za ojczyznę, odemnie ucz się“ i drugi: „Z kości naszych powstanie kiedyś mściciel“. —

Tym mścicielem, co z ich kości powstał a z ich kości się narodził, był Jan Sobieski. ¹⁾

Jakób i Teofila Sobiescy mieli dwóch synów, Marka starszego i o rok młodszego Jana. Jak po śmierci Jana Żółkiewskiego, hetmańskiego syna, spadły na jego siostrę Daniłowiczową dobra Żółkiewskie, tak później, gdy syn tej znowu a brat Teofli Sobieskiej Stanisław Daniłowicz, jeńcem w potyczce jednej wzięty, ścięty został w namiocie Kantymira Baszy (roku 1637), dostał się cały spadek po Żółkiewskich i Daniłowiczach do Sobieskich. Jest podanie, że kiedy byli dziećmi, matka wodziła ich często w Żółkwi do kościoła i na grobowcu pradziada uczyła ich czytać przytoczony wyżej napis o Mścicielu. Od pieluch więc prawie przywykli mali Sobiescy myśleć i wiedzieć, że wojna z Turkiem (Wojna Pańska, jak król Jan mawiał) to ich w przyszłości przeznaczenie, ich obowiązek, i sposób najlepszy spełnienia tego, co winni byli rodzinie i rodzicom, Ojczyźnie i Bogu.

Ale zanim do spełnienia tych przeznaczeń przyszło, musieli się chłopcy wychować i wyuczyć; posłał ich też ojciec pod dozorem i władzą pana Orchowskiego ochmistrza do szkół do Krakowa, a własną ręką napisał rozporządzenie, jak i czego się uczyć, jakim trybem żyć, nawet jak się bawić mają. Polecał roztropny ojciec w tem piśmie, iżby przed starszymi respekt zuali, po mieście sami nie chodzili,

¹⁾ Czytaj Karola Szajnochy książeczkę Mściciel, w której opisane są dzieje Żółkiewskich i Daniłowiczów i młodość Sobieskiego.

codziennie Mszy Śtej słuchali, jałmużny ubogim dawali, w dni powszednie uczyli się rano i po południu, a w święta zamiast innej rozrywki, żeby się uczyli z łuków strzelać, bronią robić, w rycerskie ćwiczenia się wprawiać. Ale że nie na wojnie tylko lub na wsi, ale i na wielkim świecie i na dworze królewskim żyć mieli, i w Senacie kiedyś dorósłszy przemawiać, i na dwory zagranicznych królów może w poselstwach jakich jeździć, przeto dbał ojciec bardzo, iżby nie do korda jedynie, ale i do świata byli chowani, i w ozdobnej wymowie i w obcych językach, mianowicie francuzkim i niemieckim pilnie ćwiczyć ich kazał.

Sześć lat przebył tak przyszły król na naukach w Krakowie, mieszkając przy ulicy Śtej Anny, (w domu zdaje się, gdzie dziś probostwo Śtej Anny), poczem na dalsze nauki wyjechał z rozkazu ojca z bratem za granicę. Nie od dawna bawili w Paryżu, gdy ich doszła wieść o śmierci ojca. Matka wszakże nie kazała im do domu wracać, ale dalej się uczyć i kształcić i wedle ojcowskiej woli świata kawał objechać. Zostali więc we Francyi, ztamtąd pojechali do Anglii, ztamtąd jeszcze do Hollandyi i Belgii, a gdy tam w Bruxelli bawili, doszła ich wieść o śmierci króla Władysława IV. (w roku 1648). Dla Polski chwila była ważna, wybór króla nowego, a równocześnie kozackie bunty z Chmielnickim na czele i z Tatarami w przymierzu. W Korsuńskiej kłęsce wojsko zniesiono, a hetmanowie oba dostali się do niewoli. Potrzebni byli młodzi Sobiescy i w domu, żeby matce bezpieczeństwo opatrzeć, i w Rzeczy-

pospolitej, żeby ich na wojnie nie brakło, matka wzywała do powrotu, i wrócili.

Stanęli na polskiej ziemi właśnie po świeżem nieszczęściu. Rzeczpospolita w Bezkrólewiu straciwszy pod Korsuniem wojsko i wodzów, na obronę od nowej napaści Tatarów i Kozaków wysłała znaczne wojsko, a to wojsko bez bitwy nawet pierzchno z pod Pilawiec. Na wstyd taki, nigdy przedtem nie widziany, zadrżała cała Polska ze zgrozy. Teofila Sobieska przyjęła powracających synów słowami: „nie „znałabym was za synów, gdybyście kiedy tak sromotnie uciekli.“ Synowie zaraz wstąpili w służbę wojskową. Po Pilawieckiem swoim zwycięztwie, niebawem czerń kozacka i tatarskie hordy rozlały się po całej Rusi, doszły aż pod Lwów i pod Zamość, i cofnęły się, aż na wieść o dokonanej elekcji Jana Kazimierza na króla. Ale wróciły niebawem; króla, który sam poszedł na wojnę, obległy w Zborowie, gdzie się i Jan Sobieski znajdował, a żąd oswobodziło obleżonych tylko zręczne poróżnienie Tatarów i Kozaków, w skutku którego Tatarzy odstąpili od obleżenia, a Kozacy zaraz zaczęli układać się o pokój. W tym samym czasie, w obleżonym także Zbarażu, pełnił Marek Sobieski pierwszą swoją służbę wojenną. Niebawem nowa wojna i wielkie zwycięztwo, w którym walczyli oba Sobiescy, a Marek tak się odznaczył, że go choć młodego bardzo wyznaczono jednym z komisarzy królewskich do układania z Kozakami nowej, Białocerkiewskiej ugody.

Marek ten pierworodny był, jak się z przechowanych świadectw wyjawia, ulubionem dzieckiem rodziców. Janowi od dzieciństwa ludzie wróżyli, że na coś wielkiego wyjdzie; podanie mówi, że przy samym chrzcie jego były dziwne znaki, bo pękł na dwoje ciężki stół marmurowy, na którym go położono (co miało być znakiem, że on wiele w losach kraju i świata zawąży). Ale serce rodziców, matki zwłaszcza, lgnęło zawsze bardziej do starszego syna. I z tej strony czekał ją cios najboleśniejszy. Gotowała się nowa na Chmielnickiego wyprawa. Marek, dwudziesto-cztero-letni młodzieniec, już pułkownik, poszedł za swoją chorągwią. Jan pójść nie mógł, bo niebezpiecznie chory leżał we Lwowie. Nieostrożnie dał się obóz polski otoczyć kozackim i tatarskim siłom pod Batohem. pięć tysięcy ludzi dostało się w niewolę; Tatarzy jeńców w pień wycięli, a w tej okrutnej rzezi zginął i Marek Sobieski.

Matka, która i tej pociechy nie miała, by zwłoki jego pochować, w nabożeństwach, w fundowanych za zbawienie jego duszy kościołach i klasztorach, i w smuktu nieutulonym przeżyła ostatnie swoje lata na ziemi; bratu przybyła jedna więcej głowa do pomśzczenia na Turkach.

Odtąd przez cały czas trwania wojny kozackiej był Jan Sobieski na czele własnej chorągwi zawsze czynnym, był z Janem Kazimierzem pod Żwańcem, (a gdy Tatarzy o pokój układać się zaczęli, dany im był na zakładnika w zamian za znacznego jednego Tatara), był i w poselstwie, które król do Turków wyprawiał, przydany Bieganowskiemu posło-

wi; gdy zbuntowanych Kozaków wziął w opiekę car moskiewski Alexy i pod tym pozorem wojnę Polsce wypowiedział, [i w tej wojnie był Sobieski i odznaczył się w walnej zwycięskiej bitwie pod Ochmatowem. Ale kiedy z tej strony wiodło się lepiej, z drugiej spadło na Polskę niespodziewane nieszczęście. Karol Gustaw, król szwedzki, [bez żadnego prócz chęci podbojów powodu, najechał Polskę z za morza, a gdy siły jej zajęte były kozacką i moskiewską wojną, łatwo bezbronny kraj wojskiem swoim zajął. Małe wojsko, które przeciw niemu posłać zdołano, złożyło broń (ze wstydem wyznać to trzeba) i uznało go za Pana. †

Szwedzi zajęli Warszawę; potem oblegli a wreszcie i zajęli Kraków; król Jan Kazimierz musiał przed nimi na Szlązk uchodzić; nie bronił się już nikt, i zdawać się mogło że Szwed całą już Polskę na dobre zawojował, kiedy Bóg sam niespodziewanie dopomógł. Kusili się Szwedzi przez dwa miesiące o zdobycie Częstochowskiego na Jasnej Górze klasztoru, bo miejsce to było dość obronne: i kusili się nadarmo. Przeor klasztoru ksiądz Kordecki, bronił się z garstką szlachty która się do niego schroniła, dodawał ducha kiedy go brakło, o poddaniu się nie dał sobie i wspomnieć, i wreszcie w sam dzień Bożego Narodzenia roku 1655 tak dzielnie odparł natarcie nieprzyjaciela, że Szwed ze wstydem i stratą od oblężenia odstąpił, a żołnierze jego opowiadali, że nad klasztorem w powietrzu widzieli Matkę Najświętszą, jak swoich płaszczem swym zasłaniała, a od płaszcza tego odbijały się kule szwedzkie i odbite

padały między ich własne szeregi. Na wieść o tej zwycięskiej obronie Częstochowy, wstąpił duch w Polaków, przekonali się, że bronić się mogą, uczuli, że powinni. Stanął też zaraz związek (w Tyszowcach) w celu wypędzenia Szwedów, król ze Szlązka powrócił, a wdzięczny za doznaną pomoc koronę swoją na ołtarzu Matki Boskiej (w kościele katedralnym we Lwowie) złożył, a królestwo swoje pod dalszą tej królowej opiekę oddając, ślubował, że co złego w Polsce, to naprawi, a mianowicie uciążliwościom ludu wiejskiego ulgę przynieść będzie się starał. Zaczęła się wtedy na nowo zacięta wojna na całej przestrzeni ziem polskich. Szwed trzymał się uporczywie swojej (jak mniemał) zdobyczy. Zwyciężony dźwigał się znowu i zwyciężał, nieprzyjaciół różnych na Polskę przyzywał, jak Rakoczego, księżęcia Siedmiogrodu. Polska też przeciw niemu szukała sprzymierzeńców i znalazła ich w Cesarzu niemieckim i w królu Duńskim, aż wreszcie Szwed wypierany coraz dalej, do morza już przyparty, zaczął układać się o pokój, który też zawarł się w roku 1660 w Oliwie pod Gdańskiem. W wojnie tej wodzem i bohaterem głównym i zbawcą Polski był Stefan Czarniecki, kasztelan kijowski zrazu, później wojewoda ruski, a pomiędzy wieloma, którzy w niej z chwałą walczyli, odznaczał się Sobieski mężstwem i wojskową zdolnością. W nagrodę tych usług nadał mu król wysoki urząd Chorążego koronnego. W tym stopniu służył dalej w wojnie szwedzkiej; a gdy ta się skończyła, w moskiewskiej, która wybuchła na nowo. Moskale chcieli połączyć się z wojskiem Chmielnickiego, żeby

razem przez Wołyń wtargnąć w głąb Polski. Temu połączeniu przeszkodzić było zadaniem wodza polskiego, Jerzego Lubomirskiego, Marszałka Wgo kor. i Hetmana Polnego. Obsaczył on Moskali w obozie pod Cudnowem, tak że się ruszyć nie mogli, a na przeciw Kozaków z częścią wojska wyszedł i pobił ich na głowę, poczem zamknięci w swoim obozie Moskale broń złożyć musieli. Sobieski tak się w tej wyprawie dzielny i wprawny wojskowy okazał, że go od tej chwili za jednego z najzdolniejszych uważano, i wrócono, że kiedyś on zostanie hetmanem.

Został nim w wypadkach bardzo smutnych. Ten sam Lubomirski, który bił się tak dzielnie z Moskałem i Szwedem, pychą uwiedziony, podniósł bunt czyli rokosz przeciw królowi; po wszystkich wojnach z nieprzyjacielem postronnym przyszło jeszcze na domiar złego do wojny domowej. Sobieski pozostał wiernym królowi; a gdy ten buntownikowi Lubomirskiemu odjąć musiał wszystkie dotąd przez niego piastowane urzędy i godności, Sobieskiemu dał po nim Buławę Mniejszą czyli Hetmaństwo Polne koronne, Laskę, czyli godność Wielkiego Marszałka, a wreszcie po śmierci Stanisława (Rewery) Potockiego, Buławę Wielką koronną.

Na te lata przypada ożenienie Sobieskiego. Na dworze królowej Maryi Ludwiki, żony Jana Kazimierza, francuzki rodem, bywało zawsze panien francuzkich dosyć, które królowa przy sobie chować i za Polaków wydawać lubiła. Między takimi chowała się na dworze i panna d'Arquien, Maryja Kazimiera imieniem, ze szlacheckiego, ale podupadłego domu.

Bardzo ładna żywa dowcipna panienka, podobala się wielce dworskim kawalerom, Sobieskiemu także. Pokochał ją serdecznie, a jak się pokazało, statecznie i na całe życie. Chciał się żenić, ale zgłosił się zapóźno; panna była już przyrzeczoną Janowi Zamojskiemu, wojewodzie sandomierskiemu, najbogatszemu z ówczesnych panów polskich, za którego też w szesnastym roku życia wyszła. Sobieski miłując ją gorąco, nie chciał żenić się z inną. Ale gdy po latach kilku została wdową, poprosił zaraz o jej rękę, i ożenił się w roku 1665 ze swoją, jak ją zawsze nazywał, „najsłodsza i najukochańsza Marysiénka“.¹⁾

Niebawem miał zastąpić nową i większą niż dotychczas zasługą i chwałą. Dawny pokój z Turcją zaczynał się chwiać; część jedna oderwanych od Polski Kozaków poddała się Turkom, którzy z tego powodu rościli sobie niby prawa do Ukrainy. Rzeczpospolita w obawie tej wojny zawarła czempredzej choć niekorzystny rozejm z Moskwą, żeby się z tej strony uspokoić; przez posłów swoich w Stambule starała się wojnę tę odwrócić; Turcja zajęta inną wojną nie zaczęła jej jeszcze, ale podszczyła Tatarów i tych Kozaków którzy się pod jej zwierzchność poddali. Nad sto tysięcy dzikiego ludu ciągnęło na Polskę. W Polsce tymczasem skarb był pusty, wojsko nie gotowe, ani zebrane, ani odziane, ani uzbrojone;

¹⁾ Dzieci Maryi Kazimiery z pierwszego małżeństwa z Zamojskim ponarły przed jej powtórny zamężciem z Sobieskim.

a ratować się trzeba było na gwałt, i natychmiast. Do ratunku stanął Hetman Sobieski, i sam jeden, swoją głową, swoim sercem, swoim groszem stanął za wszystkich i ocalił. Gotówki, co miał, oddał: na dobra długi zaciągnął; zapasy zboża ze spichrzów swoich na prowianty dla wojska obrócił, i tym sposobem zebrał, postawił, opatrzył ośm tysięcy ludzi. Z tą garstką poszedł na nieprzeliczoną moc najezdników. Obiegła go ta moc w Podhajcach, małym ruskiem miasteczku, gdzie się był zawarł, i o to miejsce, o jego mały obóz się rozbiła. Ci, którzy myśleli, że Polskę całą zwojują i złupią, gdy zobaczyli, że jednej lichej garstce rady dać nie mogą, upadli na duchu, zaczęli spierać się między sobą, odstępować jedni drugim, jedni przed drugimi z obleżonym hetmanem o pokój się układać, aż wreszcie odeszli ze wstydem, Tatarzy przysiągłszy Polsce spokój i pomoc przeciw innym nieprzyjaciołom, Doroszeńko, hetman kozacki, hołd wierności i posłuszeństwa. A choć jedni i drudzy niedługo przysięgi dotrzymali, na teraz przynajmniej miała Polska ocalenie i spokój, a winna je była Sobieskiemu.

Wkrótce potem król Jan Kazimierz, stary już, nieszczęśliwym panowaniem sterany, złożył koronę 16go Września 1668. Przyczynił się do tego głównie zawód, jakiego król doznał w ulubionym swoim zamiarze. Rozumiejąc, że następujące po zgonie każdego z królów Bezkrólewie i wolny obiór następcy, utrzymuje w Polsce wieczny niepokój, osłabia ją i na wielkie niebezpieczeństwa naraża, starał się, by za jego życia jeszcze wyznaczono mu następcę, a na

takiego podawał francuzkiego księcia Kondusza, krewnego swej żony. Sejm się sprzeciwił, a z powodu tych zamiarów królewskich wybuchł rokosz Lubomirskiego. Jan Kazimierz widząc, że na wewnętrzny nieład poradzić nie zdoła, zniechęcił się, i nie chcąc za przyszłe losy Polski (gorsze jak przewidywał) być odpowiedzialnym, złożył koronę, pożegnał ojczyznę, usunął się do Francyi i zamknął się na resztę życia w klasztorze śgo Hermana w Paryżu, gdzie też i umarł.

Po jego abdykacyi nastąpiło Bezkrólewie i nowa na polu pod Wolą (koło Warszawy) Elekcyja; na tej Elekcyi obrano królem księcia Michała Korybuta Wiśniowieckiego.

Wybór nie był szczęśliwy. Ojciec młodego króla był niegdyś dzielnym wojownikiem, i tego też ojca pamięć przyczyniła się wiele do wyboru syna. Ale ten, rodzicowi nie podobny, ani do spraw wojennych nie miał serca i ducha, ani do rządzenia głowy.

Hetman Sobieski, jak wyborowi jego był przeciwnym, bo wolałby był widzieć na tronie polskim francuzkiego księcia, tak i przez cały ciąg panowania był mu niechętnym, do czego się też nieudolność i opieszałość nowego króla wiele przyczyniły. Smutne to było panowanie, sporów wewnętrznych pełne, a z zewnątrz tymczasem nadchodziła burza straszliwa. Tatarzy z Kozakami jak złowrogie ptactwo przed nieszczęściem spadli znowu na Podole; znowu Sobieski z małemi siłami nietylko nie puścił ich dalej, ale tak pobił, że całą Ukrainę byłby mógł zabezpieczyć raz na zawsze, gdyby był miał większe wojsko; ale

tego nie było, a napad tatarski zapowiadał tylko coś gorszego. Z rozszczeniami do Ukrainy wyprawili się Turcy na Polskę; w Polsce zrazu wierzyć nie chciano, potem w poplochu uchwalono pospolite ruszenie, król Michał sam miał stanąć na czele wojska; ale nim się to zebrało, już Turek był na Podolu i zabrał Kamieniec! Kamieniec, twierdzę graniczną, której posiadanie otwierało mu wolny wstęp na Podole i Ukrainę w jedną stronę, w drugą na Ruś Czerwoną, a przez tę w sam środek Polski! Kamieniec, który dotąd był główną Polski od Turków obroną. Osadził Bisurman załogę swoją w twierdzy, z kościołów postrzącał krzyże a zatknął w ich miejscu swoje księżyce, i pociągnął dalej pod Lwów, który się dzielnie bronił, dalej pod Przemyśl, pod Zamość i Lublin. W Warszawie strach, dwór już za granicę wynosić się myślał; obronić się nie mogąc, prosił król o pokój i zawarł go w Buczaczu roku 1672, najwstydliwszy, jaki Polska kiedykolwiek podpisała. Warunkami tego pokoju oddawał król Turkom na własność Podole i Ukrainę (najbogatsze z ziem polskich), a nie dość tego, obowiązywał się płacić im roczny haracz, jakżeby był ich lennikiem czy hołdownikiem.

A pomimo zawartego pokoju, Tatarzy plądrowali dalej i zagony swoje puszczałi aż pod Przeworsk i Leżajsk. Nikt nie bronił, nikt nie przeszkadzał, brali więc łupy i ludzi w jassy, ile sami chcieli. Sobieski nie miał wojska, nie miał armat, ale patrząc na ten ucisk polskiego i chrześcijańskiego ludu nie mógł, i zebrał ludzi, co się dało, co było pod ręką, parę tysięcy ledwo, i z tymi rzucił się na Tatarów.

Pędził za nimi jak wiatr a spadał na nich jak piorun. Takiego pośpiechu w ściganiu, i takich zwycięstw z siłą tak małą, nie wiele w dziejach wszystkich wojen przykładów. Jednego dnia (6 Października), pod Cieszanowem dopędził Tatarów i odbił im dwa tysiące polskich jeńców; nazajutrz pod Niemirowem dwadzieścia tysięcy. Na trzeci znów dzień (9 Października) był pod Komarnem i znowu dwadzieścia tysięcy ludzi z jassyrą uwolnił. Ztamtąd puścił się w pogoń za Tatarami pod Kałusz, napadł, wyciął, co zostało zagnał w lasy, hordy rozbitej nie było, łupy odbite, ludzie rodzinom, ojezyźnie, wolności i wierze wróceniu, i to wszystko w jedenastu dniach czasu, z siłą dwóch tysięcy pięciuset ludzi przeciw osmdziesięciu tysiącom.

W kilka miesięcy później stanął poseł od Turków w Warszawie i upominając się o haracz zeszłorocznym pokojem przyrzeczony, groził straszną paną swego zemstą. Jakoż z siłą ogromną ruszyli się Turcy, przeszli Dunaj pod dowództwem wezyra swego Husseina, i zbliżali się ku Dniestrowi. W Polsce obwołano pospolite ruszenie, sam król ruszył się do Lwowa, gdzie się zbierać rozkazał. Wojska koronnego było czterdzieści, litewskiego trzydzieści tysięcy. Dowództwo nad niem miał Hetman, Sobieski. W marszu ku Dniestrowi spotkał tureckiego agę który dla króla polskiego wiózł kaftan, jaki sultan hołdownikom swoim na znak poddaństwa posyłał. Ale za tę obelgę drogo zuchwały Turek zapłacił. Agę puścił Sobieski wolno, ale wezyrowi moc swoją pokazał. Stanął z wojskiem pod Chocimem, w tem samem miejscu i stanowisku,

gdzie lat temu pięćdziesiąt i dwa Chodkiewicz zwyciężył sultana Osmana. 10 i 11go Listopada czekano na bitwę od chwili do chwili, 12go rano ze świtem rozpoczął ją Sobieski. Całą siłą, odrazu, rzucił się na obóz turecki, sam z dobytą szablą leciał naprzód z okrzykiem: „W Imię Boga i Ojczyzny!“; po godzinie Turcy chwiać się zaczęli, po drugiej cofać, pierzchać, wreszcie w popłochu uciekać, jedni chcąc się ucieczką ratować ze skał w Dniestr się rzucali, inni tłoczyli się na most który się pod ciężarem załamał, po południu już Turcy uciekali bezładnie ku południowi, zostawiwszy dwadzieścia tysięcy trupa, a broń, dział i bogactw bez liku: a w namiocie wezyra Hetman kazał śpiewać „Te Deum“ na podziękowanie Bogu za zwycięstwo.

Kiedy goniec z wiadomością o zwycięstwie dobiegł do Lwowa, nie żył już król Michał; w młodym wieku zabrała go choroba, na którą cierpiał od kilku miesięcy. Po jego śmierci musiała przyjść nowa elekcyja. I kogóż wybrać mieli? Kto był godzien korony, jeżeli nie ten, co od młodości bić się i zwyciężać umiał, co się za wszystkich zastawiał i poświęcał, co tylekroć nieprzyjaciela rozgromił, jeńców mu tyle tysięcy odbił, ojczyznę po trzykroć ocalił, co swoją głową i sercem, dzielnością i rozumem za wojsko jej stawiał, co teraz jeszcze w niebezpieczeństwie najgorszem nietylko ją uratował, ale chwałą dawno niewidzianą okrył pod Chocimem. Nie było lepszego między Polakami jak Sobieski, nie było godniejszego korony, nie było tego, komuby się ona należała słuszniej, a lepiej przystała. I zrozumieli też Polacy co

im nakazywała wdzięczność i zamilowanie własnej chwały. Na polu elekcyjnym pod Wołą dnia 19 Maja 1674 wniósł Stanisław Jabłonowski, wojewoda ruski, Sobieskiego wierny w wojennych wyprawach towarzyszy, żeby nie innego tylko Hetmana Sobieskiego zrobić królem, a 21 Maja stanęła jednomyślnie elekcyjja, i tego dnia Jan Sobieski został królem Janem Trzecim.

II.

Jakoby na znak, że z rycerza na króla wyszedłszy rycerskim miał być królem, zaraz po elekcyi zapowiedział Jan III., że koronacyję swoją odkłada na później na czas pokoju, a teraz idzie na wojnę. Albowiem znowu od południa ciągnęli Turcy na Polskę, z Tatarami razem Podole i Ukrainę niszczyli. Ku Ukrainie też ruszył się król, Podola część znaczną z miastami kilkoma odebrał, i byłby może o odebranie Kamieńca się pokusił, gdyby sroga zima nie była mu żołnierza znęchęciła i przerzedziła. Z wiosną nowy napad Bisurmanów, nowe klęski na Podole i Ruś Czerwoną, a gorszego obawiać się należało. Ciągnęli bowiem z wielkiem wojskiem i Turcy, i z nadzieją, że im się nic oprzeć nie zdoła, przyszli aż pod same mury miasta Lwowa. Ale tu czekał ich król, 25go Sierpnia (1675 roku) popołudniu pokazał się nieprzyjaciel od wschodu ciągnący. Król obronę murów powierzył mieszczanom, pożegnał królowę, która przez

czas bitwy modliła się w kościele, a sam udał się do obozu przed miastem. Sprawił wojsko w szyk bojowy, ciurów obozowych w husarskie pancerze ubranych rozrzucił po wzgórzach między krzakami, iżby się wydawało że ma wojska wiele, a gdy się nieprzyjaciel zbliżył, z małą swoją siłą runął na niego ze wzgórzów z takim zapędem, że dwoma tysiącami ludzi rozbił w puch czterdzieści tysięcy. O zachodzie słońca nie było już Turków ni Tatarów pod Lwowem, uciekali w popłochu, a nazajutrz o świcie byli już ośm mil ubiegli. W samym odwrocie jednak jeszcze byli straszni. Pożogą i rabunkiem znaczyli swoje ślady, i omal że warownej Trębowli nie wzięli. Oblegli ją, a dowódzca Samuel Chrzanowski, z małą załogą, gdy zapasy kul prochu i żywności już się prawie wyczerpały, zamyslał o poddaniu twierdzy. Wtedy żona jego, mężnego ducha niewiasta, pogroziła mu, że go własną ręką zabije, nim Turkom bramy twierdzy otworzy. Nie poddał się więc; a niedługo bronić się potrzebował, bo na wieść, że król w pogoni za nimi zbliża się ku Trębowli, odstąpili Turcy od obleżenia.

Tak zabezpieczywszy Ruś (choć nie nadługo), cudownem prawie zwycięstwem pod Lwowem, dopiero pomyślał król o koronacyi. Poprzedził ją pogrzeb dwóch ostatnich królów, Jana Kazimierza, którego zwłoki sprowadzono z Francyi, i Michała. Taki bowiem był zwyczaj, że z pogrzebem króla zmarłego czekano aż do koronacyi jego następcy, który szedł za trumną aż do kościoła katedralnego na Zamku. Odbył się więc pogrzeb dnia 31 stycznia roku 1676;

nazajutrz Jan III. odbył przepisane zwyczajem nabożeństwo w kościele na Skałce, na miejscu zabicia Śgo Stanisława przez Bolesława Śmiałego, a potem dopiero, w dzień niedzielny, 2go Lutego, odbyła się z wielką wspaniałością koronacja króla i królowej w kościele katedralnym krakowskim.

W lecie tegoż roku nowa Turków i Tatarów wyprawa na Polskę, i znowu jak zawsze przez nieszczęśliwą najazdami tymi srodze uciśnioną i pustoszoną Ruś. Szli Tatarzy pod sułtanem swoim Gałgą i drugim Nuradynem, Turcy pod baszą Ibrahimem tak strasznym, że go sami Szeitanem (czyli Szatanem) nazwali. Król okopał się w obozie pod Żórawnem. Sił miał za mało żeby im walną wydać bitwę, więc postanowił utarczkami ich szarpać i niepokoić ustawicznie. Oblegali go w tym oszańcowanym obozie przez dwa przeszło tygodnie. Co dnia prawie szczęśliwe z obozu wycieczki, ciężkie im zadawały szkody ; działa polskie, nad któremi dowodził Marcin Kątski, generał artyleryi, raziły ich bezustanku; słota i zimno nabawiły ich chorób; wieść, że wojsko litewskie zbliża się z pomocą królowi, nabawiła strachu; złe powodzenie sprawiło, że zaczęli się między sobą klócić. Raz jeszcze przypuścili rozpaczliwy szturm do obozu, ale gdy ten im się nie udał, spokornieli, i zamiast jak się spodziewali Polskę całą podbić, sami oblężonego króla o pokój prosić zaczęli. Król potrzebował pokoju, bo do wielkiej i długiej wojny sił dosyć nie miał, wszedł zatem w układy, i stanęła wtedy korzystna dla Polski Żórawińska ugoda, mocą której dwie trzecie części Ukrainy wrócić miały do Polski,

jeńcy wszyscy mieli być zwrócenii z jassyru, Tatarzy krajów polskich napadać nie mieli, a w razie jakiej wojny i oni i Turcy wspomagać mieli króla jako sprzymierzeńcy. A do tego wszystkiego jeszcze zawarował król, że kościół Grobu Pańskiego w Jeruzolimie i Betleemski kościół Narodzenia, (który Turcy greckim syzmatykom byli sprzedali), katolikom był oddany. Warunku tego wszakże nie dotrzymani Turcy, a i innych także, jak zobaczymy, nie ze wszystkim. Odchodząc, prosili tylko króla, iżby się całemu ich wojsku pokazać raczył, bo to będzie dla nich zaszczytem wielkim u swoich, gdy powiedzą, że na własne oczy oglądali „niezwyciężonego Lwa Północy“.

Od tego czasu nie miała z nimi Polska wojny przez lat siedem, król zajęty był wewnętrznymi sprawami, i zamiarami wielkiej wagi, jak odebranie Prus książęcych od Elektora Brandenburskiego, i nowe urządzenie Ukrainy, któreby przywiązało stale do Polski tę część Kozaków która jeszcze wiernie przy niej została, ale spraw tureckich z oka nie spuszczał i wojnę z tej strony zawsze przewidywał. Ostrzegały go o jej dalszym lub bliższym, ale niechybnym wybuchu, różne od Turków na Ukrainie zaczepki, które cierpliwie znosił, odkładając odwet do sposobnej pory: ale bardziej od tych ostrzegały go o tej konieczności zagraniczne sprawy i stosunki.

Ludwik XIV., król francuzki, ze wszystkich podówczas w Europie najpotężniejszy, za zadanie życia wziął sobie osłabienie i upokorzenie niemieckiego cesarstwa. Wojny prowadził z nim jedne po drugich, po większej części zwycięzkie, i kraj nie jeden od

niego oderwał, a do swego francuzkiego królestwa przyłączył. Cesarz Leopold I., ani tak potężny ani tak zdolny jak on, miał jeszcze tę w obronie swojej trudności, że protestanci niemieccy i ich książęta sprzyjali królowi francuzkiemu. Cesarz był katolikiem, a oni byli nieprzyjaciółmi kościoła. Król francuzki zaś choć katolik także, nie wahał się z różnowiercami przeciw cesarzowi łączyć. Nie tylko z protestantami zaś, ale co gorzej z Turkami. Turcy zaś, trzymając od lat 150 większą część Węgier i Budę ich stolicę, od Wiednia mało oddaleni, zawsze byli Cesarstwu groźni, ale nigdy tak bardzo jak teraz. Albowiem częścią z własnych uraz i żalów do cesarza, częścią z poduszczeń króla francuzkiego, podniósł się na Węgrzech bunt przeciwko cesarzowi. Na czele jego stał hrabia Emeryk Tekely, człowiek wielkiego w swoim kraju znaczenia. Ten rychło pociągnął za sobą całą tę część Węgier (północną), która była jeszcze w posiadaniu cesarza, i poddał ją Turkom jako lennictwo, za co oni zrobili go zwierzchnim księciem tego kraju. Położenie Austryi było straszne. Sama strata Węgier zadawała jej potężne cios niepowetowany, ale gorszem jeszcze było to, że gdyby Turcy całe Węgry posiadli, nic by im już nie stawiało zawady w pochodzie na Austryją i Niemcy, i potęga ich stałaby się pierwszą w Europie.

Nie mniej zaś jak dla Niemiec byłoby ich panowanie w Węgrzech niebezpiecznem dla Polski. Owszem więcej jeszcze. Bo do Niemiec byłiby oni zawsze mieli jedną tylko drogę otwartą, od strony Węgier, a wielka liczba twierdz, miast obronnych, gór i rzek,

dawała Niemcom w najgorszym nawet razie jakieś sposoby obrony. Do Polski zaś mieli Turcy zawsze przystęp otwarty od południa, mieli go także Tatarzy od wschodu. Gdyby do tego jeszcze północne Węgry z Karpackimi górami były wpadły w ich ręce, to takiemu najazdowi z dwóch stron na raz, Polska wzięta we dwa ognie nigdy nie byłaby mogła się oprzeć; zwłaszcza, że równa i płaska, otworzysta, miastami i twierdzami nie broniona jak Niemcy, była do zdobycia nierównie łatwiejszą. Było więc dla Polski rzeczą najwyższej wagi, nie dopuścić do tego, żeby Turek zajął północne Węgry. Nietylko sprawa wiary, oświaty, praw i wolności chrześcijańskiego świata, nietylko korzyść oczywista z osłabienia tego odwiecznego wroga, nietylko nadzieja odzyskania Podola, które on zabrał, ale bezpieczeństwo, przyszłość i sam byt Polski nakazywały jej pilnie strzedz tego, żeby Turek północnych Węgień nie posiadał.

Wiedział też dobrze Jan III., że broniąc Austrii od Turków, bronić będzie Polski samej. Długo i usilnie pracował nad nim król francuzki, żeby go na swoją stronę przeciągnąć. Obiecywał mu, że swoją powagą wyjedna Polsce długi pokój od Turków, kusił go nadzieją, że część Węgień, gdyby od cesarza odpadły, mogłaby dostać się Polsce. Wszystko napróżno. Jan III. wolał Francuzów jak Niemców, i rad byłby z nimi a nie z tamtymi zostawał w przymierzu. Ale kiedy się spostrzegł, że król francuzki Turków na chrześcijańskie państwo podszczuwa, że się dla własnej pychy na szkodę drugiego z nieprzyjacielem Chrześcijaństwa znosi, wtedy odstał od francuzkiego

przymierza a do króla Ludwika XIV. napisał, że szedł z nim zgodnie i wiernie „*usque ad aras*“ (aż do ołtarzy), to jest tak długo, pokąd się król ten z Turkiem na szkodę Wiary i Chrześcijaństwa nie złączył, ale potem dłużej już trzymać się jego nie może. Więc choć Francuzi jeszcze wszelkiemi siłami i sposobami starali się go od cesarza oderwać, choć wielu senatorów polskich przekonali i namówili tak, iż na przymierze z cesarzem pozwolić nie chcieli, a z królem francuzkim potajemnie się znosili, Jan III. zachwiać się nie dał, ale wytrwał w tem, co mu nakazywał honor, sumienie, i dobro Chrześcijaństwa i ojczyzny.

Już od jesieni roku 1682 wiadomem było powszechnie, że się Turek do wielkiej wojny z cesarzem gotuje i zbiera. Cesarz, który na zachodnich granicach Niemiec miał wojnę z królem francuzkim, nie mógł z tamtych krajów wojsk swoich ściągać, a przez to nie mógł mieć ich pod Wiedniem dosyć, by się Turkowi opierać. Oglądał się za sprzymierzeńcami, ale ich nie znajdował. Katolicy książęta niemieccy gotowi byli pomagać, ale sił wielkich nie mieli, protestancy, jak Elektor Brandenburski, na pozór zachowali się obojętnie, a na prawdę Turkom zwycięstwa życzyli. Gdzież się więc udać? kto może przyjść z pomocą? Do Polski, do jej króla udał się cesarz, przez posła swego Waldsteina, a sprawę jego popierał gorąco Papież, Innocenty XI., który rozumiał dobrze, jakim nieszczęściem byłoby zwycięstwo Turków, lękał się o wiarę i o zbawienie milionów dusz, i dlatego całą swoją powagą na króla nalegał, a Nuncyusz jego

w Warszawie Pallavicini prosił i zaklinał, iżby król w razie wojny cesarzowi poszedł na pomoc. Król prosić się długo nie kazał, wiedział, o co chodziło, znał swój obowiązek chrześcijańskiego i polskiego króla, i pomoc swoją przyrzekł. 31 Marca 1683 roku, zawarł w Warszawie układ odporny i zaczepny z cesarzem przeciw Turkom, mocą którego obadwa przyrzekli sobie w wojnie z niewiernymi pomagać i jeden bez drugiego pokoju nie zawierać. Postanowili zaś, że dowództwo nad wojskiem połączonym, ten z nich obejmie, który sam osobą swoją stawi się na wojnę. Układ ten zaprzysięgli oba, cesarz i nasz król, przed Papieżem w Rzymie, nie osobiście, ale przez umocowanych do tego dwóch kardynałów.

Niebawem po zawarciu tego przymierza, już w kwietniu, gruchnęła po świecie wieść, że Turcy ruszyli się z Konstantynopola z wojskiem tak wielkiem, jakiego nigdy jeszcze nie widziano, pięćkroć sto tysięcy ludzi. Sam Sultán Mahomet IV. miał je na Wiedeń prowadzić, ale zniewieściały i gnuśny został w domu, a dowódczą na swoje miejsce mianował wielkiego Wezyra swego, Kara-Mustafę, któremu też powierzył największą u Turków świętość, wielką chorągiew Mahometa Proroka, której oni na największe tylko wojny dobywali, i na takie, które mieli sobie za święte. Z tem wojskiem ogromnem szła moc nieprzeliczona koni i bydła, wielbłądów jucznych i zamorskich różnych zwierząt, prowadzili i ptaki rzadkie, strusie i papugi, a skarbów i zbytków, złota, kamieni, broni kosztownych i drogich bławatów w namiotach i skrzyniach bez miary. Posuwała się

ta chmura niezbyt szybko, ale ustawicznie: przez miesiąc Czerwiec przebyła Węgry, pierwszych dni Lipca stała już na austryjackiej granicy. Cesarz szczupłe swoje wojsko oddał pod dowództwo księcia Karola Lotaryńskiego, szwagra swojego (drugiego męża wdowy po naszym królu Michale Eleonory), ale ten choć żołnierz dzielny bardzo, poznał, że Wiednia zastąpić nie zdoła i na drugim brzegu Dunaju opędzał się tylko przednim oddziałom tureckim, a na polskiego króla czekał. Było przy nim już Polaków trochę zwerbowanych za cesarskie pieniądze przez Hieronima Lubomirskiego, Marszałka Nadwornego, ale polskie wojska dopiero pod Kraków ściągać się zaczęły.

A tymczasem dnia 7 Lipca w Wiedniu począł się strach i narzekanie. Rozeszła się wieść, że Turcy pobili na głowę wojsko cesarskie, i że za kilka godzin mogą stanąć pod miastem. Cesarz Leopold wyjechał zaraz z żoną, z dziećmi i z dworem do Lincu. Nie była to prawda, nie było bitwy ani porażki, ale sprawdziło się, że nieprzyjaciel był blisko. 14 Lipca tłumy jego wojsk otoczyły miasto do koła, i rozpoczęło się oblężenie. W mieście była do obrony załoga 15000 ludzi, nad którymi dowództwo miał cesarski generał Stahremberg.

Na wieść o oblężeniu Wiednia zadrżał cały świat chrześcijański; polska pomoc jedna mogła ocalić nieszczęśliwe miasto, a świat od nieszczęśliwych skutków jego zdobycia przez Turków. Król Jan był jeszcze w letnim swoim pałacu w Willanowie pod Warszawą, kiedy pewnego dnia (5 Sierpnia)

przybył do niego poseł cesarski hrabia Waldstein i Nuncyusz Pallavicini, padli mu do nóg i zawołali jeden: „Królu ratuj Wiedeń,“ drugi: „ratuj Chrześcijaństwo“. Czasu do tracenia nie było; każdy dzień spóźnienia mógł być zgubą dla obleżonego miasta. Król też natychmiast z królową i dziećmi wyjechał do Krakowa do wojska, po drodze wstąpił do Częstochowy polecić się Matce Najświętszej, która tak niedawno uratowała Polskę od Szwedów, w Łobzowie letnim pałacu pod Krakowem mieszkając, wysyłał wojsko w drogę ku Wiedniowi, sam pobożnie obszedł procesyją te krakowskie kościoły, w których się ciała świętych patronów polskich znajdują; odwiedził też z żoną i dziećmi księdza Dąbrowskiego, swojego niegdyś w szkole nauczyciela a teraz schorzałego i prawie umierającego starca, wziął od niego błogosławieństwo i przepowiednię zwycięstwa, i 15 Sierpnia wyruszył z Krakowa. Na samem wyjeździe jeszcze wstąpił do kościoła Karmelitów na Piasku i modlił się przed cudowną Matką Boską. Królowa odprowadzała go z młodszemi dziećmi do Tarnowskich Gór na Szląskiej granicy; najstarszego syna królewicza Jakóba, mającego podówczas lat szesnaście, wziął ojciec z sobą na wojnę.

Szli przez Szlązk, przez Morawy, witani po drodze przez ludność całą jak zbawcy. Król każdego dnia prawie, stanąwszy na nocleg, pisywał listy do królowej. Listy te dochowały się szczęśliwie do naszych czasów, i są drukowane, tak że każdy czytać je może, a z nich przekonać się, jakie on miał serce złote a usposobienie pogodne i mile. Gospodarz wielki,

król w drodze zważa wszędzie na uprawę roli i na plony, i nieraz w listach dziwi się, jaka w tych krajach ziemia dobra a żniwa obfite. Wielki także miłośnik ogrodów, wspomina nieraz o pięknych owocowych drzewach, któremi tam drogi były wysadzone, i żałuje, że u nas nie ma takiego starania i porządku. Im bliżej było im do Wiednia, tem częściej przybiegali gońce od wojsk cesarskich z prośbą, żeby spieszyli co mogą, bo Wiedniowi coraz trudniej się bronić, nieprzyjaciel ściska go coraz bardziej, i podkopami do murów się zbliża, żeby szturm ostatni przypuścić. Książęta niemieccy i Jenerałowie Cesarscy, jeden po drugim stawiali się w obozie, żeby z królem o przyszłej bitwie się rozmówić i rozkazy jego jako głównodowodzącego odbierać. Pewnego ranka (30 Sierpnia), kiedy ku Dunajowi ciągnęli, ukazała się na jasnym niebie tęcza mała dziwnego kształtu jak księżyc po nowiu, a z tego księżycy zrobiło się po tem coś podobnego do krzyża; wzięli sobie ten znak niebieski za dobrą wróżbę, i wzięli się do przeprawy, która przez rzekę tak szeroką i bystrą, jak Dunaj, nie była łatwa. Pod Tulnem miastem rzucili przez rzekę mosty na łodziach, i po tych mostach przeszło wojsko na prawy brzeg Dunaju. Przeprawa trwała trzy dni. Kiedy była skończona, 8 Września, w dzień Narodzenia Najśw. Panny odprawiło się przed wojskiem nabożeństwo, przy którym Kapucyn Marek d'Aviano, spowiednik i przyjaciel cesarza Leopolda, ze świętobliwości i wymowy bardzo w swoim czasie sławny, dawał im błogosławieństwo od Papieża i rozgrzeszenie w razie śmierci, i miał do nich przemowę

(po łacinie), która musiała być bardzo piękna, bo wielu, i króla między tymi, do łez rozrzewniła.

Za Dunajem, od samego brzegu rzeki, zaczynają się strome, dość wysokie, lesiste góry, wąwozami i potokami poprzerzynane, i przez te góry musiało się teraz wojsko przedzierać. Wozy i zapasy skryli gdzieś w bezpiecznem miejscu na równinie, a sami, tyle tylko mając żywności, ile kto przy sobie mógł schować, zaczęli się drapać pod górę. Konie pasły się liśćmi po lasach, ludzie nie wszyscy jeść co mieli. Król pisze, że przez te dwa dni marszu przez góry zrobili się lekcy jak charty, i mogliby jelenie ścigać. Najgorzej było z armatami, bo trzeba było koniecznie wyciągnąć je na górę, a bez dróg, po bardzo stromych pochyłościach, i głodnymi końmi, wyciągać nie było łatwo. Zeszło znowu dwa dni, zanim całe wojsko dostało się już na wierzchołki gór. Ale wreszcie 11 Września na wieczór byli już nad Wiedniem i zobaczyli przed sobą otwartą wielką równinę, na której Wiedeń stoi, w środku jej miasto ze swemi murami i wieżami, a do koła tego miasta, pomiędzy sobą a niem, całe nieprzeliczone siły tureckie, wojska ogromne, namiotów ich na polu tyle co gwiazd na niebie, a nad tem wszystkim sterczała ze środka miasta wieża katedralnego wiedeńskiego kościoła św. Szczepana; i z tej wieży oblężęncy puścili racę ognistą królowi na znak, że o przyjsciu jego wiedzą a pomocy śpiesznej potrzebują.

Król stanął na noc w klasztorze Kamedulów, na górze zwanej Kahlenberg (na polskie Łysa góra), a widząc, że zejście na płaszczyznę będzie trudne,

bo pomiędzy naszym wojskiem a nieprzyjacielem było jeszcze mniejszych pagórków i wąwozów dosyć, myślał, że bitwa będzie dopiero za dni parę. Tak pisał do królowej, z owego klasztoru, w nocy z 11 na 12 Września, a tymczasem ta bitwa zacząć się miała nie za dni parę, ale za parę godzin.

III.

Król tak już naprzód szyk bitwy rozporządził, że wojska cesarskie miały stać na lewem skrzydle linii bojowej, książęta niemieccy, bawarski, saski, i inni w środku, a wojsko polskie na skrzydle prawem. Te góry, na których oni stali, okrażają Wiedeń od strony zachodniej półkolem w ten sposób, że między temi które dochodzą do samego brzegu Dunaju, a miastem, odległość jest najmniejsza; dalej góry odsuwają się od miasta łukiem, tak że przestrzeń płaszczyny między górami a Wiedniem jest szersza. Z tego wynikło, że wojsko cesarskie, które stało na lewem skrzydle i przytykało do Dunaju, było najbliżej od przeciwległego prawego skrzydła wojsk tureckich, a wojsko polskie znowu na drugim końcu miało najdłuższą drogę, zanim się z nieprzyjacielem zderzyć mogło. Skoro Turcy spostrzegli, że na wszystkich górach stoi wojsko, musieli mu bronić przystępu do Wiednia: skoro więc cesarskie wojska zaczęły się z gór spuszczać na równinę, a były od tureckich najmniej oddalone, więc na tem miejscu

nastąpiło pierwsze zderzenie. Była to niedziela, dnia 12 Września, rano o wschodzie słońca, cesarscy ruszyli się z gór ku płaszczyźnie, ale na mniejszych wzgórzach przed sobą spotkali Turków, którzy dalszego przejścia bronili. Zaczęły się pierwsze strzały i pierwsze, z początku małe, utarczki. — Król, który się o 3 z rana kazał obudzić, naprzód posłał do księdza Kapucyna, żeby Mszę św. odprawił. Z bębnow ustawiono pod drzewem oltarz; Msza wyszła; król sam do tej Mszy służył (a jak inni znowu opowiadają, nie służył, tylko jej krzyżem leżąc słuchał), przyjął komunię św., a gdy kończąc Mszę ksiądz odwrócił się i miał powiedzieć *Ite Missa est*, zamiast tych słów powiedział: „*Vinces Joannes*“ (zwycięzisz Janie). Gdy mu zaś mówiono i wyrzucano, że samowolnie słowa mszalne zmienił, ksiądz się wymawiał i przysięgał, że tego nie zrobiłby nigdy, bo się to nie godzi. Ludzie, którzy to słyszeli, gdy widzieli, że on niechcący i sam o tem nie wiedząc królowi zwycięstwo wróżył, pomyśleli, że to z woli boskiej prorocstwo przez usta księdza padło i że to był znak jeden, iż Bóg chrześcijańskiemu orężowi błogosławić chce. Za drugi taki znak wzięto gołębia białego, który, jak ten sam kapucyn Marek d'Aviano widział i zareczał, podczas bitwy nad głową króla w powietrzu się unosił.

Ledwo się Msza kończyła, kiedy król postyszał strzały na lewem skrzydle i zmiarkował, że cesarscy już się z Turkami spotkali. Porwał się zatem czempredzej, i śniadania nie kończąc, żeby swoich sprawić i w bój prowadzić, a sprzymierzeńcom posłać posiłki.

Jakoż na tamtej stronie już wrzała bitwa gorąca. Naprzeciw przednich zastępów cesarskich wysłał Wezyr Janczarów, którzy bronili każdego wzgóрка, każdego parowu. Cesarscy bili się doskonale, ale było im trudno, bo nieprzyjaciel był liczniejszy, a rowy i mury otaczające winnice i sady, jemu ułatwiały obronę a im utrudniały pochód i natarcie. Wsparli ich Sasi, którzy stali najbliżej; rezerwy cesarskiej ciężkiej piechoty spieszyły na pomoc, aż nareszcie wyparli Turków z wsi jednej, gdzie się ci skupili, i ostatniego już przed Wiedniem wzgórza bronili. I teraz nie było już przed nimi przeszkody żadnej, równe pole dzieliło ich nieprzyjaciela. Żołnierz chciał uderzać odrazu, ale wodzowie wstrzymali, nie chcąc z małą siłą narażać się na niepewny los. Postanowili czekać, ażby Polacy z lasów i wzgórzów wyszli i z nimi się zrównali.

Polacy tymczasem mieli najdłuższą drogę, i najwięcej trudnych wąwozów i pagórków do przebycia. Więc choć im nieprzyjaciel jeszcze nie przeszkadzał, nie mogli tak rychło jak Niemcy stanąć na linii bojowej. Ze swoich nocnych stanowisk ruszyli się o wschodzie słońca, a ledwie koło godziny drugiej zrównali się z Niemcami. Rozstawił ich król tak, że najbliżej wojsk Niemieckich stał Mikołaj Sieniawski, hetman polny koronny, wojewoda wołyński, ze swojemi pułkami. Obok niego chorągwie czyli pułki królewskie i sam król, a przy nim z chorągwiami swemi dwóch Potockich, młody Stanisław, syn Andrzeja kasztelana krakowskiego i Feliks, wojewoda sieradzki.

Na samym zaś końcu wojska polskiego a zarazem na końcu całej linii wojsk chrześcijańskich był Stanisław Jabłonowski, hetman wielki koronny, wojewoda ruski. Artyleryja zaś pod dowództwem Kańskiego i chorągwie husarskie czyli wyborowa ciężka jazda polska, rozłożone były wszędzie pomiędzy różnemi oddziałami wojsk polskich. Z Polaków pierwszemu przyszło walczyć Hetmanowi Jabłonowskiemu. Tatarzy, którzy stali na samym krańcu wojsk tureckich i właśnie naprzeciwko niego, na rozkaz wezyra próbowali prawe skrzydło polskie okrążyć, żeby tym sposobem zająć naszych z tyłu. Ale Hetman, dzielny i doświadczony w wojennem rzemiośle, a z tatarskim sposobem wojowania dobrze zdawna obeznany, przejrzał ich zamiar odrazu, i nie czekając tak na nich natarł, że nie tylko jego okrążyć nie zdołali, ale i ze swego dawnego stanowiska zepchnięci, w tył ku Šrokowi sił tureckich cofnąć się musieli.

Król tymczasem postępował naprzód ze swoimi, schodził na najniższe już wzgórza, kiedy Turcy uderzyli na niego. Wysłał przeciw nim parę husarskich chorągwi; poszły, natarły, wyparły Turków ze stanowiska, ale gdy tym silna nadeszła pomoc (bo Wezyr poznał, że to Polacy, i że między nimi król być musi i w tę stronę zwrócił swoje największe siły), husarze na zdobytym wzgórzu utrzymać się nie mogli wrócili do swoich. Turcy za nimi w pogoń. Niemcy którzy to widzieli już myśleli, że będzie źle, kiedy w jednej chwili ci ścigani husarze stanęli, sformowali się na nowo, odwrócili się, król posłał

im parę świeżych chorągwi na pomoc; działa z góry prażyły Turków, i w jednej chwili widok się zmienił, Turcy uciekali w popłochu, a husarze siedzieli im na karkach i pędzili przed sobą jak bydło.

Niemcy dostrzegli, że między Turkami sprawiło to zamieszanie i postrach, i zaczęli rwać się naprzód; za Niemcami i nasze pułki, te co koło nich stały pod dowództwem hetmana polnego Sieniawskiego. Już też i wszystkie siły były na równej linii wyciągnięte, wzgórze i przeszkody ostatnie były przebyte, i król dał rozkaz, żeby całe wojsko, jak jest, szło naprzód i uderzyło na niewiernych.

A zanim się ruszyło jeszcze, w krótkiej chwili spokoju, ukazał się pośrodku wojsk tureckich mały namiot czerwony, a podle namiotu wielka zielona chorągiew. Król dojrzał, i poznał zaraz co to znaczy. Zrozumiał, że w tym namiocie siedział Wezyr Kara Mustafa i z niego bitwą dowodził, a ta chorągiew, że to wielki sztandar Mahometa, ich Proroka. Widząc to, posłał król po pana Zwierzchowskiego, porucznika husarskiej chorągwi królewicza Alexandra ¹⁾ i zapytał: „Widzisz Waszeć tę kupkę?“ — „Widzę Miłościwy królu!“

— „Otóż to tam (mówi dalej król) sam Wezyr „stoi. Żebyś mi Waszmość Panie Poruczniku tam „kopiją skruszył, rozkazuję.“

Porucznik rozkaz ten odebrawszy — (tak opowiada pan Dyakowski, pokojowy dworzanin królewski) —

¹⁾ Aleksander, drugi syn króla, miał podówczas lat siedem i na wojnie nie był, tylko pułk jeden (czyli chorągiew) nosił jego nazwisko.

pokłonił się królowi, wziął swoją chorągiew (dwieście ludzi) i pomknął z kopyta. Turcy ani myśleli, żeby taka mała garstka śmiała na nich uderzyć i sądzili, że to zbiegowie co od Polaków na ich stronę przechodzą. To też zrazu rozstępowali się im tylko. Ale gdy zobaczyli, że ci ze złożonemi do ataku kopijami już są przy samym namiocie Wezyra, dopiero zmiarkowali o co chodzi, i jakby kto w ul pszczół dmuchnął, opisuje dalej ten sam Dyakowski, rzucili się na tę jedną chorągiew, to z dzidami, to z szablami, a takie tam powstały tumany kurzu, że z miejsca, gdzie stał król, dojrzeć nie było można, kto bije a kto pobity. Król wtedy sam przerażony nieco, że tych ludzi na śmierć tak oczywistą posłał, dobył krzyża z kawałkiem drzewa z krzyża świętego, który na sobie nosił, i krzyżem tym w tamtą stronę zęgnął mówiąc: „Boże Abraamów, Boże Izaaków, Boże Jakubów, zmiłuj się nad ludem twoim“. Potemosobliwszą „protekcją Matki Najświętszej a cudem prawie bożym z pośrodka tak wielkiej tłuszczy ludzi“ wróciła ona chorągiew szczęśliwie do króla, około pięćdziesięciu tylko ludzi straciwszy.

Już tedy powiodło się raz przebić hufce tureckie na wylot i przykład był dany, a wojska wszystkie z coraz większym zapalem pragnęły dokończyć zwycięstwa, ale teraz dopiero zaczęła się najcięższa dla króla i Polaków przeprawa. Wezyr przez zemstę, że Cesarzowi pomagać przyszli, przez zemstę, że do jego namiotu dotarli, i myśląc słusznie, że gdyby ich znieść zdołał, jeszczemy może całą bitwę wygrał, na nich teraz całą swoją siłę obrócił. Lewe skrzydło

i środek (Niemcy) jak z rana mieli robotę ciężką, tak teraz łatwo posuwali się naprzód i Turków z pola spędzali, a za to na skrzydło prawe, na Polaków, wywarł nieprzyjaciel całą swoją siłę i wściekłość. Chodziło Wezyrowi o chwałę i o życie, bo wiedział, że mu Sułtan wstydu i klęski nie daruje; chodziło Turkom o zachowanie tego, co już zdobyli, i o Wiedeń, przeczuwali może, że jeżeli teraz nie wygrają, to zacznie się koniec ich potęgi, ich chwały, i że przyjdzie się pożegnać z zuchwałą myślą panowania nad światem. Biti się też jak lwy, z ostatniem wysileniem ciała i duszy, męztwa, zapału, a wreszcie rozpacz. Ale nadarmo. Bóg był przeciwko nim, a przeciw nim stał wojownik wielki, zapalony taką żarliwością o chwałę imienia Bożego i o całość Chrześcijaństwa, jak ci rycerze, co niegdyś z nimi o Ziemię Świętą i Grób Pański walczyli, Lew Lechistanu, jak go sami nazywali, Sobieski. Przeciw nim było wojsko polskie, które od dwóch wieków walczyło z nimi i na swojej piersi napady ich wstrzymywało, wojsko polskie, które także czuło, że teraz chwila, by na Turku pomścić dwa wieki wojen i nieszczęść, by jego panowaniu zadać cios śmiertelny. I o ten chrześcijański i polski zapal króla i rycerstwa, rozbiły się pogańskie wściekłe wysilenia męztwa i rozpacz, jak fala morska o skały. Trudno było, i przez godzin parę ważyły się losy świata. Król sam nie jak król, nie jak wódz, ale jak żołnierz prosty był na przodzie z szablą dobytą, syn Jakób zawsze przy nim, aż nieprzyjaciel zaczął wreszcie chwiać się, łamać i cofać. Tymczasem na lewem skrzydle cesarscy już

się pod sam obóz turecki posunęli, na prawem Tatarzy uciekli, trzymał się jeszcze tylko środek tureckiego wojska. Wtedy król następując ciągle naprzód, wezwał Miączyńskiego (co później wojewodą wołyńskim został), i ukazując mu sam środek tureckiego obozu, gdzie stały wezyrskie namioty, rozkazał mu iść i ten środek obozu opanować. Jeszcze raz wtedy cała chrześcijańska armija uderzyła na Bisurmana, ale niedługo już bić się z kim miała. Ze wszystkich miejsc na wszystkie strony uciekał zwyciężony Turek, uciekał i ten straszny Kara Mustafa Wezyr, co się odgrażał że świat dla Sultana zawojuje, uciekał i Han tatarski, i baszowie wszyscy i Agi i janczarowie i spahy i wojsko ich całe; rano o wschodzie słońca padły pierwsze strzały, o drugiej godzinie popołudniu wszczął się bój stanowczy, a przed zachodem słońca o szóstej wieczorem nie było już Turków pod Wiedniem, a zwycięzki wódz wojsk sprzymierzonych, zbawca Chrześcijaństwa, król Polski, Jan III Sobieski, wchodził do opuszczonych namiotów wielkiego Wezyra.

Tu skarby były niesłychane i niezliczone, bo Turcy w popłochu ucieczki nie zabrac z sobą nie mieli czasu, zostawili wszystko, ale na skarby król nie patrzył. Jedną rzecz podać sobie kazał, chorągiew Mahometa Proroka, tę chorągiew, którą Turcy mieli za pamiątkę swoją najdroższą i świętość największą, za znak swojej wiary i zakład swojego szczęścia, a która teraz przez nich odbieżona, wpadła w ręce zwycięzcy. Wziął ją król, i natychmiast bez listu, bo pisać nie miał czasu, posłał ją Papieżowi do Rzymu

na znak, że Turek pobity, — że potęga jego złamana a pycha upokorzona, że Wiedeń ocalony a Chrześcijaństwo bezpieczne. Papież zaś, gdy wieść tę i tę chorągiew odebrał, zawołał słowami Ewangelii: „Był człowiek posłany od Boga, któremu było imię Jan“. Co tam w Ewangelii o św. Janie Chrzcicielu powiedziano, to Papież Innocenty XI. w uniesieniu wdzięczności, zastósował do innego Jana, do naszego króla, któremu także było imię Jan, a który zaiste od Boga był posłany na ratunek chrześcijańskiej wiary i państw chrześcijańskich.

Tak dawszy znać o zwycięztwie Namiestnikowi Bożemu, Głowie kościoła, chciał król dać o niem znać także królestwu swemu, Ojczyźnie swojej, i żonie. Pisać także w tej pierwszej chwili nie miał czasu, więc wziął strzemię od bogatego wezyrskiego siodła igońcowi wręczył mówiąc: „nie oprzej mi się Waszmość aż w Krakowie, a to odemnie królowej do rąk oddaj, i powiedz, żeś mnie widział w wezyrskim namiocie“. Goniec pędził co konie tchu miały, a gdy do Krakowa przybiegł, wpadł na zamek. Królowę zastał w kościele, na Mszy, przed tym samym Panem Jezusem na krzyżu, przed którym się niegdyś Jadwiga modliła. Tam królowa odebrała strzemię, z tego miejsca rozeszła się po Polsce pierwsza wiadomość o wiedeńskim zwycięztwie.

Książęta niemieccy, jenerałowie, oficerowie, zbiegli się do króla i cisnęli koło niego; całowali jedni po rękach, drudzy po nogach, inni w kraj sukien, a żołnierze kupili się wolając „ah unser brave König!“ i nazywając go zbawcą. Król rozporządził gdzie woj-

sko ma stanąć na noc, niektóre oddziały jazdy mniej zmęczone posłał w pogoń za Turkami, i dopiero potem przypatrzył się tureckim obozom. Samych namiotów żołnierskich było sto tysięcy, a że w każdym po kilku ludzi się mieściło, można z tego miarkować, jak ich było wiele. Wozów dopiero z żywnością, z ołowiem i prochem moc nieprzeliczona; do tych prochów nieostrożnie zapuścił ktoś ogień tak, że wybuchły; widok był wspaniały i straszny, jak król pisze, ale szkoda ogromna, bo się zmarnowało więcej jak za milion złotych tego zdobytego prochu. Były i stada całe koni, bydła, mułów, wielbłądów a pośrodku tych obozów dopiero stały namioty Wezyra samego. Tak ich miał wiele, że na rozległość tyle zajmowały miejsca, co Lwów albo Warszawa (pisze król do królowej). Miał w nich Wezyr i mieszkania wspaniałe, i koło nich ogródki z wodotryskami, i łaźnie, i zwierząt różnych chowanych albo rzadkich wiele do zabawy: słowem wszystko, co tylko zbytek wielki może wymyśleć, a skarbów tyle, że aż sam król się zdumiał. Opisywał królowej, że wojsko całe, prości żołnierze, nawet ciury, takie po Turkach znajdowali i brali bogactwa, że szabel i siodła w złoto oprawnych a drogiemi kamieniami sadzonych było bez liku. A to, co on sam w namiotach Wezyra zastał, i częścią cesarzowi i książętom, częścią swoim oficerom rozdarował, a częścią królowej do Krakowa posłał, to było takie wspaniałe, że patrząc ledwie się własnym oczom wierzyło. A pan tych bogactw, Wezyr, w jednej odzieży jaką miał na sobie uciekał, nie oglądając się za skarbami, życie tylko ratując. Straty

w wojsku cesarskiem i polskiem nie były wielkie, jak na bitwę tak straszną, bo i tysiąca poległych nie naliczono, a Turków padło do ośmiu tysięcy. Ale między poległymi tak z Niemców jak z naszych było dzielnych oficerów dosyć, których król, choć w dobrej sprawie chlubną śmierć ponieśli, ciężko żałował. Zginął tam pułkownik piechoty Aswerus, Niemiec rodem ale w polskiem wojsku, którego król wysoko cenił; zginął młody Stanisław Potocki, starosta halicki, którego ojciec Andrzej, kasztelan krakowski, zostawał w Polsce przez czas tej wojny jako królewski Namiestnik i Wielkorządca; zginął Jan Modrzejowski, króla nadworny Podskarbi, i innych znaczniejszych wielu. Z tych zaś, co cało z niebezpieczeństwa wyszli, szczególną odwagą i zasługą odznaczyli się, oprócz samego króla, Hetman Wielki Koronny Jabłonowski, Ernest Denhof, Zygmunt Zwierzchowski porucznik chorągwi królewicza Aleksandra, Marcin Kątski generał artylerji, Marek Matczyński koniuszy koronny króla serdeczny przyjaciel, Atanazy Miączyński później wojewoda wołyński, Eliasz Łacki, dwóch Morsztynów Stanisław i Krystyn, Michał Rzewuski pisarz lwowski, młody królewicz Jakób, o którym ojciec pisze że tęgi i odważny bardzo, francuz brat królowej hrabia Maligny, i wielu innych.

Przyszła noc. Wojsko w porządku spoczywało po znoju, i król wreszcie chciał spocząć. Ale nie poszedł spać w namiocie Wezyra, bo tam choć przepych był wielki, ale po plugastwie tureckiem taki został zaduch, że wytrzymać było ciężko; tylko pod dębem

jednym suchym kazał sobie król zrobić posłanie. — Ale choć znużony bardzo, bo i na koniu był od wschođu do zachodu w dzień skwarny bardzo, i niepokój o wypadek bitwy, i odpowiedzialność jaką dźwiगाł, męczyć go także musiały, nie zasnął przecież, tylko do królowej list pisać zaczął, długi bardzo, a zaczynający się od podziękowania Bogu za zwycięztwo w słowach następujących: „Bóg i Pan nasz na „wieki błogosławiony, dał zwycięztwo i sławę narodo- „wi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie sły- „szały.“ Pokazują te słowa, że dwa uczucia górowały w jego sercu w tej uroczystej chwili: wdzięczność Bogu, który zwycięztwo dał, i radość, że je dał „narodowi naszemu,“ że przez ten naród Bóg ocalił Chrześcijaństwo a poniżył niewiernych, i że to było taką dla tego narodu chwałą, o jakiej przeszłe wieki nigdy nie słyszały. — I prawda to, że od czasu jak do Kruszwickiego kołodzieja Piasta przyszli aniołowie z obietnicą że z jego potomstwa wyjdą polscy królowie, od czasu jak Mieczysław przyjął chrzest św. a Bolesław Chrobry w Elbie i Dnieprze bił słupy graniczne swego państwa, nigdy przez wszystkie wieki naszych dziejów nie odnieśliśmy zwycięztwa, któreby miało takie dla świata wielkie i szczęśliwe skutki, jak zwycięztwo króla Jana pod Wiedniem.

Dziwnym trafem tego samego dnia i o tej samej porze, kiedy pod Wiedniem toczyła się bitwa, w Krakowie odbywało się nabożeństwo o jej szczęśliwy koniec. Królowa, która miała wady różne, ale pobożna była, wyprosiła u papieżkiego Nuncjusza pozwolenie, żeby na intencyją zwycięztwa mogła się

odbyć procesyja z Przenajświętszym Sakramentem taka, jak bywa na Boże Ciało. W tę samą więc niedzielę 12 Września wyszła ta procesyja z kościoła na Zamku: prowadził ją Biskup krakowski Jan Małachowski, za baldachimem szła królowa z dziećmi, a za nią Biskupi, Senatorowie, i ludu niezliczone tłumy. Nikt oczywiście nie wiedział w Krakowie, że w tej samej chwili biją się pod Wiedniem, ale ich modlitwy może tak do zwycięstwa pomogły, jak te prośby Mojżesza, o których pismo św. opowiada, kiedy Izraelici bili się z Amalechitami, a Mojżesz przez cały ten czas modląc się, klęczał na wzgórzu z rękoma wyciągniętymi ku niebu.

IV.

Nazajutrz wstąpił król do oswobodzonego Wiednia. W małym orszaku i bez żadnej okazałości, bo wiedział, że cesarz pragnie, żeby nikt przed nim uroczystego wjazdu do miasta nie odprawił, chciał mu tedy przez względność i uprzejmość wielką, zaszczyt ten i tę przyjemność zostawić. Wybrał się więc prawie po cichu i nieznacznie. Ale gdzie się ruszył, poznawali go ludzie i tłumnie zbiegali się do niego, i ze łzami wdzięczności na zbawcę swego patrzali, i byliby mu w niebogłosy wiwaty krzyczeli, ale starszyczna nie pozwalała, żeby się cesarz tem nie obraził. Wjechał król do miasta wyłomem w murze, bo bramy wszystkie były jeszcze zatarasowane;

użalał się bardzo po drodze ludzi przez Turka pomordowanych i pokaleczonych srodze, użalał się i miasta zniszczonego bardzo, a radował się, że mu na czas z odsieczą przyszedł, bo bez tego nie byłoby zdołało bronić się dłużej, jak przez pięć dni jeszcze. Wstąpił do dwóch kościołów, Jezuitów jednego a drugiego Augustyjanów i w tym ostatnim Mszy świętej słuchał, a po Mszy sam *Te Deum Laudamus* intonował. Był potem na obiedzie u komendanta miasta generała hrabi Stahremberga i po południu do obozu swego powrócił.

Na trzeci dzień po bitwie 14-go Września, ruszył się z całym wojskiem od Wiednia ku Węgrom. Pilno mu było ścigać nieprzyjaciela, a prócz tego, zostawać dłużej było źle, bo od mnóstwa ciał poległych psuło się powietrze, a w wojsku pokazały się zaraźliwe choroby. Turcy zaś tak wszystko na polach zniszczyli i spalili, że została tylko goła ziemia, a koni nie było czem żywić. Odsunął się tedy król od Wiednia, a wtedy z miasteczka Kremsu, gdzie się znajdował, zjechał do Wiednia cesarz Leopold.

Nastąpiła teraz wzajemna między cesarzem a królem uraza. Cesarz miał może nieco żalu i wstydu, że obcy król a nie on, jego własny Wiedeń oswoodził; król znowu może miał żal o to, że cesarz a nie on zwycięzca, miał odprawić uroczysty wjazd do Wiednia. Cesarz uraził się znowu tem, że król jego przyjazdu pod Wiedniem się nie doczekał, tylko wcześniej odszedł; król ze swej strony był zagniewany, że pod Wiedniem i w mieście jego rannym i chorym nie dano takiego, jak chciał schronienia i wygody.

Z tych powodów był między nimi pewien kwas. Po swoim przyjeździe do Wiednia, dał cesarz znać królowi, że go w obozie jego odwiedzić i podziękować mu pragnie. O umówionej tedy godzinie, czekało na cesarza wojsko polskie uszykowane, a kiedy nadjeżdżał, wyjechał król z synem i hetmanami naprzeciw niego. Powitali się grzecznie w łacińskim języku. Ale potem król skinął na syna, żeby się zbliżył, i cesarzowi go przedstawił, a cesarz ani słowa do królewicza nie przemówił, ani mu się kapeluszem nie uklonił, ani nawet głową nie kiwnął. Tak samo obszedł się i z hetmanami. Naszych obeszło to srodze, a króla najbardziej. Nie zrobił wszakże cesarzowi żadnej wymówki, tylko po krótkiej jeszcze rozmowie, rozkazał hetmanom, żeby pokazali wojsko, a sam z synem w swoją stronę ku węgierskiej granicy odjechał. Cesarz, gdy się dowiedział, że króla i Polaków obraził, żałował i zaręczał, że się to stało niechcący, a do młodego królewicza Jakóba napisał grzeczny bardzo list z przeproszeniem, ale uraza została i pamięć jej doszła do naszych czasów. Wszyscy pisarze, którzy dzieje tej wojny opowiadają, wspominają i tę niewdzięczność cesarza, który swego zbawcę i jego syna powinien był przyjąć lepiej. Niemieccy znowu pisarze tłómaczą cesarza i dowodzą, że on nie chciał i nie myślał królowi czy też królewiczowi uchybiać, ale że kapelusza przed nim zdjąć nie mógł, bo taki był na ich dworze zwyczaj, że cesarz nigdy przed żadnym księżęciem głowy nie odkrywał. Gdyby więc był uklonił się kapeluszem królewiczowi polskiemu, to wszyscy obecni księżęta niemieccy, byłiby

się o to obrazili. I tak istotnie być mogło. Choć zdaje się, że cesarz z innego jeszcze powodu nie chciał być serdecznym dla królewicza Jakóba. Król Jan życzył sobie gorąco, ożenić tego syna z córką cesarza, cesarz zaś nie miał ochoty wydawać jej za Jakóba, który choć syn królewski, po śmierci ojca mógł nie być niczem, skoro w Polsce syn po ojcu na tron nie następował, ale za każdym razem wybierali jakiego chcieli. Żeby więc nie myśleli, że tę córkę za niego wyda, wolał cesarz królewiczowi Jakóbowi zimnem obejściem dać do zrozumienia, iż go za zięcia nie chce.

Po wiedeńskim zwycięstwie poszły wojska polskie i cesarskie na Węgry, żeby tam Turka ścigać, a jeżeli się uda i Budę stolicę mu odebrać. Ale już rzeczy nie szły tak dobrze jak dotąd. Naprzód straciło się dość czasu na naradach, jak i którędy iść za Turkiem; potem w wojsku zagnieździło się chorób zaraźliwych dużo, na które ludzie bardzo marli, a to wojsku ducha odejmowało i ochotę do dalszej wojny, tak że nieraz głośno sarkało i powrotu do Polski się napierało. Nastaly i jesienne słoty, które i na stan zdrowia nie pomagały i pochód utrudniały bardzo. Jedno zaszło w tym pochodzie zdarzenie dziwne. W miasteczku jednym przez Turków spalonym i zupełnie bezludnym, w kościele również spustoszonym, znalazł hetman Jabłonowski obraz Najświętszej Panny, z napisem: *In hac imagine Joannes vinces* (z tym obrazem Janie zwyciężysz). Zabrał go, a zdziwiony, że się ten napis tak do króla Jana stósuje, darował

go królowi, który go jak drogą pamiątkę w domowej swojej kaplicy w Żółkwi przechowywał.

Turcy cofali się ciągle i bitwy unikali, tak że prócz małych utarczek, bez przeszkody doszły wojska sprzymierzone aż na prost Granu czyli Ostrzyhomia, znacznego bardzo węgierskiego miasta, które jest stolicą węgierskiego Prymasa, ma kościół, w którym ich król Ś-ty Szczepan przyjmował chrzest z rąk Ś-go Wojciecha, i ma zamek obronny bardzo na wysokiej i stromej górze. Miasto to trzymali Turcy od lat 150, a z owego kościoła zrobili swój meczet. Leżało ono na drodze pomiędzy Wiedniem a Budą, tak, że chcąc iść dalej, trzeba było zdobyć je koniecznie. Ale miasto to było na prawym brzegu Dunaju, wojska zaś chrześcijańskie były na brzegu lewym. Na Dunaju był pod miastem most, a mostu tego bronił szaniec turecki, już na owym lewym brzegu rzeki usypany, pod wsią zwaną Parkany. Król posłał przednią straż polską, żeby rozpoznała, czy dużo Turków w tym szańcu. Straż ta nieostrożnie wdała się z nimi w bój, a gdy ją przemagającym siłami otoczyli, musiał król posłać jej posiłki, i tak po kolei całe wojsko polskie zostało wciągnięte w niespodzianą bitwę. Turcy byli nierównie liczniejsi, Niemcy byli daleko, tak że na pomoc przybiedz nie mogli, skończyło się na porażce. Król sam był w wielkiem niebezpieczeństwie i ledwie się ocalił. Po tej przegranej, była w namiocie królewskim rada wojenna, wielu radziło wracać do Polski nie czekając, ale król zgromił ich ostro i zapowiedział, że jutro wyda nieprzyjacielowi nową bitwę, w której się

i sława poprawi i nowa korzyść osiągnie, „a o przeciwniej fortunie nie nie mówcie, bo ją zdepcę jako małpę.“ I jak rzekł, tak zrobił. Nazajutrz, 9-go października wydał bitwę. Tym razem już z pomocą wojsk cesarskich. Turcy rychło zaczęli się cofać, a kiedy nasi zdobywali ów szaniec przedmostowy, którego załoga broniła się okrutnie, większa część tureckiego wojska zaczęła się tłoczyć ku brzegowi Dunaju i na most. Napchało ich się tyle, że most załamał się pod ciężarem, tak jak niegdyś w Chocimiu, tysiące Turków wpadło w rzekę, która w jednej chwili pokryła się tonącymi ludźmi i końmi, a od białych tureckich zawojów, które po niej pływały, „wyglądała jak staw, kiedy na nim białe kwiatki zakwitną.“ Klęska Turków była zupełna, ich wojsko zniszczone. Zaczęło się oblężenie Granu, który się dzielnie bronił, ale gdy cesarskie wojsko wdarło się na górę jedną panującą nad całym miastem i z tej twierdzy bombardować zaczęło, poddała się twierdza, ale nie cesarskim, tylko królowi polskiemu, który ją wszakże zaraz w ręce księcia Lotaryńskiego, cesarskiego wodza, oddał. Zdobycie Granu było i chwałą wielką i korzyścią nie małą. Miasto od półtora wieku przez Turków opanowane, wracało do chrześcijan, a twierdza, która uchodziła za niezwyciężoną, musiała się poddać. Króla wszakże to nadewszystko cieszyło, że ów kościół, w którym niegdyś Ś-ty Wojciech ochrzcił Ś-go Szczepana, kościół od tak dawna tureckim nabożeństwem zbezczeszczony, znowu chwale Bożej był przywrócony, i w tym kościele kazał

śpiewać *Te Deum* i odprawić pierwsze od półtora wieku katolickie dziękczynne nabożeństwo.

Król byłby chciał iść jeszcze na Budę, ale późna pora, śloty i mrozy, zmęczenie i wyniszczenie wojska, kazały na ten rok dalszej wojny zaprzestać. Rozeszły się więc wojska od Granu; cesarskie na zimowe leże w zachodnią część Węgier, polskie do domu przez Węgry północne. Ale tu miały jeszcze przeprawę nie łatwą. Część kraju trzymali Turcy, z którymi nieraz bić się przyszło: zdobył król na nich miasto i zamek Szecin. Dalej były wojska zbuntowanego Tekelego, które naszych niepokoiły. Tak w ciągłych prawie utarczkach, w zimna srogie, przez wielkie zasy py śniegów, wracało wojsko znużone, osłabione i smutne, na Koszyce, Preszów, Lubowlę do Polski. W Nowym Sączu spotkał się król z królową, która wyjechała naprzeciw, a na samą Wilię Bożego Narodzenia, wieczorem 23-go Grudnia, do Krakowa powrócił.

Tu na samym wjeździe przyjmowano go powitalnymi mowami, w kościele na Zamku odśpiewano *Te Deum*, a w parę dni później, 27-go Grudnia w dzień Ś-go Jana, wyprawilo miasto wspaniałą na cześć króla uroczystość. Zaczęła się ona od solennego nabożeństwa w kościele Panny Maryi ¹⁾, na którym

¹⁾ Dlatego, że w tym kościele odbyło się nabożeństwo dziękczynne po powrocie Jana III. z pod Wiednia, umieściła teraz Rada miasta Krakowa na kościele Panny Maryi płaskorzeźbę, którą na cześć i pamiątkę wiedeńskiego zwycięstwa przy obchodzie jego dwóchsetnej rocznicy odlać

był król z królową i dziećmi; po nabożeństwie udali się na ucztę, na którą ich burmistrz z radcami zaprosił, a wieczorem były na Rynku ognie sztuczne, którym się królestwo przypatrywali. Najbardziej podobały się trzy transparenta (czyli obrazy przeźroczyste, z tyłu lampami oświetlone), z których jeden wyobrażał króla na koniu, drugi królewicza Jakóba, a trzeci Wiedeń obleżony od Turków.

Ale smutno powiedzieć, że na tym tryjumfalnym obchodzie skończyły się radości tak dla króla, jak i dla Polski. Polska już od tego czasu zwycięstw nie odnosiła, a dla króla zaczęły się także lata niepowodzenia. Na ten rok, 1683, wojna była skończona, ale pokój z Turkami zawarty nie był: owszem, z wiosną miała wojna wybuchnąć na nowo, i trwać tak długo, dopóki cesarz całych Węgier, a król Polski Podola i Ukrainy nie odebrał. Ale nie wiodło się ani jednemu, ani drugiemu. W roku 1684, cesarscy walczyli na Węgrzech, ale Budy nie zdobyli, król kusił się o odebranie Kamieńca, ale bez skutku; próbował potem przeprowadzić się na Wołoszczyznę i tę sobie zhołdować, ale otoczony hordą tatarską, pod Żwańcem na Podolu, sam na czele małego wojska bronił się przez dni piętnaście, i w końcu cofnąć się musiał. W roku znowu 1685, wyprawił się już nie sam król, ale hetman wielki koronny Jabłonowski, na Bukowinę, żeby ztamtąd dostać się na Wołoszczyznę,

kazała. Płaskorzeźbę tę, której obrazek znajduje się w niniejszej książeczce, robił pan Pius Weloński, rzeźbiarz, polak, w Rzymie.

ale spotkał się z tak przemagającą siłą Tatarów i Turków, że nie tylko o pochodzie naprzód myśleć nie mógł, ale z wielką trudnością i większą jeszcze wojskową zręcznością i sztuką, swoje wojska bez szkody zdołał z tego kraju wycofać.

W roku następnym 1686, cesarzowi wiodło się szczęśliwie na Węgrzech, bo księżę Lotaryński zdobył nareszcie Budę i inne miasta znaczne; ale Polakom wiodło się coraz gorzej. Król wierny zawarłtemu z cesarzem przymierzu, a pokonanie Turków za pierwszy swój obowiązek zawsze uważający, bał się, żeby car moskiewski nie złączył się z Turkami przeciw Chrześcijaństwu. Starał się więc o to, żeby cara na swoją i cesarza stronę przeciągnąć i do niej go przywiązać. Ale chytry Moskal umiał z tego skorzystać. Przyrzekał, że do ligi przeciw Turkowi przystąpi, ale pod tym warunkiem, że Kijów, który po wojnie za Jana Kazimierza dany mu był tymczasowo w zastaw, zostanie przy nim na zawsze. Za tę cenę miał i Turkom pomocy nie dawać i Polsce wiecznego pokoju dochować. Król wahał się długo, bo rozumiał dobrze, jak niebezpiecznym dla Polski było to oddanie Kijowa, ale myśląc, że pokonanie Turków od wszystkiego ważniejsze, ustąpił wreszcie, i podpisał ten nieszczęsny z Rosyją pokój, którym Polska zrzekała się Kijowa. Źle zrobił. W wojnie z Turkiem nie miał od cara pomocy żadnej, a utratą Kijowa osłabiła się Polska bardzo. Rosyja w nim usadowiona, z niego na wszystkie strony zdrady swoje po całej Rusi snuć zaczęła, ludzi swojej szymatycznej wiary przeciw Polsce buntowała, i tak się tam umocniła,

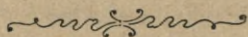
taką nad Polską wzięła przewagę, że sto lat nie wyszło, a jej się udało zrobić pierwszy rozbiór Polski, za którym poszedł potem drugi i trzeci. Ten pokój, znany pod imieniem pokoju Grzymułtowskiego, bo go układał ze strony polskiej Krzysztof Grzymułtowski, wojewoda poznański, to był największy błąd, jaki król Jan przez czas swego panowania popełnił. A poświęcenie Kijowa nie opłaciło się żadną inną korzyścią. Wyprawiał się król znowu na Wołoszczyznę, z nadzieją, którą w nim cesarz Leopold ożywił, że jeżeli ją opanuje, osadzi tam syna Jakóba jako udzielnego księcia. Ale wyprawa się nie udała. Wojska cesarskie, które z naszymi złączyć się miały na Wołoszczyźnie, nie doszły tak daleko; król własnymi siłami nie mógł dać rady połączonym Turkom i Tatarom; gdzie się ruszył, tam nieprzyjaciel zapalał suche trawy na stepach i otaczał naszych jakoby morzem ognia i dymu, i król nietylko Suczawy miasta nie zdobył, ale ledwo że odwrotu do kraju dokonać zdołał.

I znowu w roku 1687 wysłał król syna Jakóba na zdobycie Kamieńca, i znowu bez skutku; potem powtarzały się zawsze mniejsze tatarskie najazdy, ale większej wojny nie było, aż w roku 1691. Wtedy poszedł król znowu, z dwoma młodszymi synami Alexandrem i Konstantym na odebranie Kamieńca i zdobycie Wołoszczyzny. Kamieńca wprost oblegać i szturmować nie chciał, tylko naprzód te miasta zająć, które go zasilały żywnością, iżby się potem ogłodzony sam łatwiej poddał. Zrazu szło nie źle; wziął król miasto Sorokę, wyprawił się na Suczawę;

ów stół marmarowy, co pękł przy jego chrzcie. a prócz tego zbiór wielki i nieoceniony starych polskich zbroi. Olesko, od Podhorzec blizki zamek Daniłowiczów, w którym się Jan III. urodził, podupadł z czasem tak, że już zawaleniem się groził. Ale wstyd jakoś było dać upaść temu domowi, w którym przyszedł na świat nasz król i bohater, i znaleźli się ludzie, którzy potrzebne pieniądze złożyli, zniszczony zamek od właścicieli nabyli, a na uczczenie dwóchsetnej rocznicy wiedeńskiego zwycięstwa, na własność kraju go oddali. Dziś, choć do świetnego stanu jeszcze nie przywrócony, o tyle przecież jest zabezpieczony, że się dalej niszczyć i walić nie będzie, a gdy się do dobrego stanu przywróci, oddany zapewne będzie na jaki publiczny użytek.

W innych miejscach, gdzie król przemieszkiwał, jak Żółkiew, Jaworów, Pomorzany, Wysock, Pielaszkowice, domy albo zniesione, albo tak przerobione, że poznać nie można jakimi za owych czasów były; drzewa tylko przez króla sadzone, a dziś ogromne, są jedynym widomym śladem jego na tych miejscach pobytu. W skarbcu Częstochowskiego klasztoru na Jasnej Górze, przechowuje się hetmańska buława Sobieskiego, i inne po nim pamiątki, między temi wielka lampa srebrna, którą do kaplicy cudownej Matki Boskiej sprawił. W kościele farnym w Żółkwi, obok wielu pamiątek po jego przodkach i ich rodzinnych grobów, są wielkie obrazy, przedstawiające zwycięstwa króla nad Turkami. Po różnych kościołach, domach i zbiorach staropolskich zabytków, znajdują się też pamiątki Sobieskiego i jego rodziny.

Zebrano je, ile się dało i wystawiono właśnie na wihok publiczny w Krakowie, gdzie je każdy w Su-kiennicach oglądać może. Zrobiono to dlatego, żeby tym sposobem okazać cześć jaką mamy dla pamięci króla Jana, a pamięć tę w dwieście lat po Jego wielkiem zwycięztwie u ludzi ożywić.





Biblioteka

9970/1

Naukowa